

II/1379/ikonkurs

© ARCHIWUM WSCHOŃNIE

Władysław Korcz

Moje jedno dziesięciolecie

1939 - 1948

*/ Droga przez Łagry /*

Zielona Góra 1989 r.

Władysław Korcz

Moje jedno dziesięciolecie 1939 - 1948  
-----

Celem relacji odnoszącej się do wybranego dziesięciolecia / 1939 - 1948/ mojego życia jest wyłącznie pozostawienie świadectwa prawdy o tych wszystkich wydarzeniach, w które zostałem uwikłany wbrew moim chęciom i zamierzeniom. Tym bardziej, że ich konsekwencje zaważyły w sposób istotny na dalszym przebiegu mojego życia. Uważam, że nie ma najmniejszego znaczenia, że spisuję minione lata i ich treść, po długim upływie czasu, bo po latach z górą trzydziestu. W ciągu tych lat zatarły się w pamięci drobne i nieistotne szczegóły, całość natomiast najważniejszych przeżyć zapadła tak głęboko w psychikę, wryła się w pamięć tak wyraziście, że przedstawi-  
na całość tylko w nieznacznym stopniu różnić się będzie od tego co musiałem przeżyć. Różnice te wynikają zresztą z niemożliwości przekazania słowem tego wszystkiego co stało się i zaszło w swoistej praktyce. Próby zbliżenia się do tego co istotnie było, jak zawsze i wszędzie będą cierpiały na zrozumiałe i wytłumaczalne niedostatki.

Relacja moja nie rości<sup>?</sup> sobie pretensji do literackiego ujmowania spraw przeżytych. Nie jestem literatem, wszelkie więc fantazjowanie, upiększanie, stylizowanie i uciekanie się do metafor jest mi całkowicie obce. Pragnę i temu będę wierny przez cały czas odtwarzania moich wspomnień, pozostać bliski przeżyciom i w najprostszy sposób, najbardziej komunikatywny i jasny o nich opowiedzieć. Pragnę - powtarzam to i podkreślam - pozostawić świadectwo prawdy. To wszystko co bowiem napisać chcę i co napiszę jest samą prawdą, w sensie

zaistnienia tych wydarzeń, w których brałem udział. Jestem jak najdalszy od jakiegokolwiek wybielania swojej osoby i kreowania się na bohatera. Uważam taki sposób za niegodny poważnego człowieka, za którego mam pełne prawo się uważać.

Zdaję sobie sprawę, że przedsięwzięcie, do którego przystępuję, nie jest łatwe ani proste. Chęć spisania treści jednego dziesięciolecia - cóż znaczy jedno dziesięciolecie w perspektywie całego życia? - jest o tyle istotna, że materiał tych dziesięciu lat tak daleko wykracza poza osobiste, przeciętne życie, iż możliwie ścisła informacja o nich, stała się obywatelskim, a przede wszystkim ludzkim obowiązkiem wobec tych wszystkich, którym los oszczędził takich przeżyć. Wobec zalewu kłamstwa, pospolitego oszustwa przeluwającego się wszystkimi możliwymi środkami przez nasze życie, niezmiennie i stale trzeba odsłaniać, demaskować i piętnować panujące i przemożne w swym bezwstydnym krętarstwo i najdziksze kłamstwa, ubrane w togę moralizatorów i opiekunów najwyższych wartości humanitarnych. Każdy kto tylko miał okazję i musiał przeżyć niewyobrażalne kpiny z ludzkiej godności, z praw przysługujących człowiekowi wolnemu - prowadzonemu na przymusowe roboty pod bagnetem - kto chcąc nie chcąc musiał wysłuchiwać bez przerwy i wytchnienia powtarzane slogany o zdobyczach, o szczęściu, o realizowanych prawach człowieka, o stanie jego dobrobytu i wolności w jakiej ma możliwość realizować wszystkie swoje marzenia i ideały - ten w konfrontacji z ponurą rzeczywistością, po jej szczęśliwym przeżyciu ma święty obowiązek ostrzegać tych wszystkich, którzy wciąż nie wierzą i nie ufają głosom ostrzegawczym, jak straszliwe niebezpieczeństwo czai

się za uprawianą z uporem maniaków propagandą o zmianach, przeobrażeniach i stworzeniu nowego lepszego życia. W imię więc tego najświętszego obowiązku, rozpoczynam moją relację o przeżyciach jednego dziesięciolecia.

Na całkowitym marginesie pragnę pozostawić moje osobiste odczucia, choć przyznaję będzie to prawie niemożliwe do zrealizowania, a cały akcent, cały wysiłek pragnę skupić na sprawach znacznie wykraczających poza jednostkę, a obejmujących całe grupy ludzkie poddane wyniszczającym działaniom straszliwego systemu, uzurpującemu sobie pretensje a nawet prawo do uszczęśliwiania ludzi na siłę, wbrew ich woli i chęciom.

x            x            x

#### I.

Jakby to było wczoraj, staje mi przed oczami pewien słoneczny dzień czerwcowy roku 1939, gdy spotkałem na korytarzu gmachu Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie Panią Profesor Natalię Gąsiorowską, która zgodnie ze swoim sposobem bycia zatrzymała się i zapytała mnie jak sobie wyobrażam przyszłą pracę Koła Historyków Studentów WWP. Pytanie to było uzasadnione, albowiem przed kilkoma dniami zostałem wybrany prezesem wspomnianego koła. Nie muszę dodawać jak byłem tym uradowany i ile zaczęło rodzić się w mojej głowie pomysłów zmierzających do ulepszenia działalności Koła. Rozmowa z prof. N. Gąsiorowską nie trwała długo, pożegnałem ją, ani się spodziewając, że następne spotkanie będzie miało miejsce za lat ... dziesięć.

Był piękny czerwiec roku 1939, w którym po złożeniu trzech egzaminów / z historii starożytnej, historii średnio-

wiecznej i historii społeczno-gospodarczej u prof. N. Gąsiorowskiej / wyjechałem z Warszawy do swojego rodzinnego miasta, do Sambora, do rodzicielskiego domu. Wakacje zaczynały się niemal normalnie. Codziennie korzystając z pięknych słonecznych dni - a pogoda w tym roku była wyjątkowa - spieszyłem nad swój ukochany Dniestr, i spędzałem tam prawie cały dzień, bez troski rozkoszując się słońcem i wodą. Na wakacje nie przyjechali, jak to było co roku, żaden z moich dwóch braci / jeden mieszkał w Warszawie, drugi w Otwocku/ ani też żadna z dwóch sióstr/ mieszkały w Białej Podlaskiej/ i w najbliższej okolicy/. Jak każdego roku ojciec zwiózł sporo bukowego drzewa i węgla, które należało uprzętać, by zapewnić sobie opał na zimę. Codziennie wczesnym rankiem cięliśmy dobrze wyostrzoną piłką leżące w ogromnej stercie metrowej długości polana, które następnie ja rąbałem i to możliwie szybko, by jak najwcześniej popędzić nad Dniestr. Doszedłem do nieprawdopodobnej wręcz wprawy w rąbaniu drew, których sterta błyskawicznie rosła. Potem następowało zniesienie drew do przygotowanych komórek i zwolniony po wykonanej pracy, nieprawdopodobnie zziębnięty, ruszałem przez słoneczne pola z chwiejącymi się łanami zbóż nad ulubioną rzekę. Tam wpatrzony w błękitniejącą na horyzoncie panoramę Karpat nie chciałem nawet myśleć do czego nieuchronnie zbliżał się świat.

Uciec jednak od rzeczywistości nie było sposobu. Wcisnęła się do mózgu każda wyczytana w gazecie wieść, przynosząc wzrastający z dnia na dzień niepokój. Wobec rozpętanej propagandy hitlerowskiej stawało się coraz bardziej oczywiste, że tym razem nie będzie ani Monachium, ani kapitulacji typu czes-

kiego. Wciąż byłem pod wrażeniem "Epoki", znakomitego pisma społeczno-politycznego, z którym się nie rozstawałem. Artykuły tam drukowane przez znakomych publicystów dostatecznie jasno oświeślały coraz bardziej zaogniającą się sytuację w Europie.

Wśród zmieniających się nastrojów, miotani wzrastającymi i upadającymi nadziejami na utrzymanie pokoju, żyliśmy pozornie tak samo jak dotąd. Ale nad Polską mimo wciąż pogodnego nieba nadciągały groźne chmury. W niepewności co przyniesie następny dzień minął lipiec i sierpień. Ostatnie dni tego miesiąca potwierdziły obawy o nieuchronnej wojnie.

Ogłoszono mobilizację. Mimo, iż byłem plutonowym podchorążym rezerwy / mój pułk macierzysty to 40 pp. we Lwowie / karty mobilizacyjnej nie otrzymałem, jak zresztą wielu podobnych do mnie. Pożegnałem kolegów, odjeżdżających na front z miejscowym 5 pułkiem podhalańskim i jak codziennie odprowadziwszy moją ukochaną Helę do domu, wróciłem do swoich rodziców.

Dzień 1 września rozwał wszelkie tłące się tu i ówdzie nadzieje, że obejdzie się bez wojny. Nie obeszło się. Z działającego, wręcz prymitywnego radia kryształkowego dowiedzieliśmy się o orędziu Prezydenta Mościckiego i wybuchaliśmy pierwszych komunikatów o rozpoczętych walkach. Komunikaty były pomyślne. Niestety przez kilka następných dni komunikaty były wciąż pomyślne, z jednym szczególnie zdumiewającym swą treścią: "Westerplatte broni się jeszcze!" Krzyczałem wówczas podenerwowany: dlaczego nie idą im z odsieczą! Nie wiedzieliśmy w gruncie rzeczy co się dzieje na frontach. Zaczęliśmy przeczuwać, że jest niedobrze.

W dniu 8 września, w pogodny jak wszystkie niemal dni tego września dzień, spadły na nasz dworzec kolejowy pierwsze bomby hitlerowskie. Obronę przeciwlotniczą stanowił jeden karabin maszynowy, rozniesiony wraz z obsługą, którąś tam bombą. Samoloty odleciały, nikt ich nie ścigał. Z dworca unosiły się gęste dymy przesłaniające świeże ruiny.

Zaczęły nadlatywać niby czarne ptactwo, złowrogie wieści, o rozbitych frontach, zaczęli pojawiać się pierwsi uciekinierzy przynosząc ze sobą przerażające wiadomości. Wreszcie pewnego dnia, gdzieś chyba po 15 września, ubrałem się w mundur wojskowy /drellichowy, letni/, włożyłem do plecaka niezbędne przybory, zmianę bielizny i pożegnawszy się ze wszystkimi najbliższymi ruszyłem wraz z kilkoma znajomymi na wschód. Do Sambora bowiem zbliżali się Niemcy

Niedaleko za Samborem gromadka, z którą wyruszyłem w nieznaną wędrówkę rozsypała się i pozostałem sam. Szedłem bez żadnej bojaźni wciąż na wschód i doszedłem po kilku dniach aż pod Rohatyń /około 100 km od Sambora/. Stamtąd nie wiedząc dokąd właściwie iść zawróciłem w kierunku północno-zachodnim, chcąc zbliżyć się do Lwowa. Spotkałem nowych przygodnych znajomych, podobnie jak ja nie wiedzących, ani nie orientujących się co robić dalej.

Pewnego wieczoru, a było to już po 17 września, stałem na podwórzu pewnej wioski wraz z kilkoma - chyba było ich pięciu - uciekinierami podobnymi do mnie. Staliśmy pełni dziwnego niepokoju, nie mogąc zdecydować się na udanie się do stodoły na nocleg. Nagle jak spod ziemi wyrosli przed nami liczni ludzie i wrzeszcząc ile sił " ruki w

wierch" otoczyli nas zwartym kołem. Do mnie zbliżył się jakiś osobnik i powtarzając " ruki w wierch" przyłożył mi niemal rewolwer do piersi. Stojąc z podniesionymi rękami, rzecz dla mnie zdumiewająca i do dziś niewytłumaczona- nie uczułem najmniejszego lęku. Ani przez moment nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji. Zapytał mnie cośmy za jedni, a na moją odpowiedź " bieżęncy" kazał nam się ustawić i pod groźbą rewolwerów poprowadził nas przez wieś do jednej z chat. W izbie tej chaty na łóżku rozwalony w rozbebeszonej pościeli na pół leżał, na upół siedział, bez bluzy, w rozchełstanej koszuli, jakiś wojskowy, jak mogłem sądzić, po meldunku złożonym przez żołnierza, który nas wprowadził. Przed wojskowym na stole stojącym w pobliżu łóżka świeciła nieskazitelną białością pełna śmietany, chłopska miszka, koło kór której leżał nadkrojony chleb. Dopiero znacznie później gdy przypominałem sobie tę scenę, nie mogłem opędzić się myśli, że dzielny czerwonoarmista przypuszczalnie po raz pierwszy w życiu widział i jadł śmietanę !

Po wypyтaniu nas cośmy za jedni rozkazał nam pójść do pobliskiej stodoły. ~~Zasnąłem~~ <sup>Zasnąłem</sup> zaraz ledwie mając czas na szybkie zastanowienie się nad nieprzewidzianym spotkaniem. O tym, że armia ruska przekroczyła nasze wschodnie granice dowiedziałem się chyba na dzień lub najwyżej dwa przed opisanym wieczornym spotkaniem. Nie umiałem odpowiedzieć sobie co to ma oznaczać !

Rankiem kazano nam wynosić się, pozostawiono tylko jednego, który miał na sobie mundur policjanta !

Wychodząc w świetle ranka mogłem przyjrzeć się czerwonej armii, raczej tym jej reprezentantom, którzy akurat ~~n~~



gdy w pewnym momencie zauważyłem idącą od strony Lwowa grupę polskich oficerów otoczonych uzbrojonymi konwojentami. Patrzyłem na to z najwyższym zdumieniem, wciąż jeszcze nieczego nie rozumiejąc. Chociaż twarze prowadzonych oficerów były nader wymowne, malowały się na nich przedziwne uczucia, które czyniły z tych twarzy oblicza gniewne z widoczną, wcale nie ukrywaną wściekłością. Nawet płaszcze rozchełstane, co przecież ~~xxx~~ u naszych oficerów było niepraktykowane, również wiele mówiły. Takich grupek po kilka ludzi, odprowadziłem wzrokiem chyba pięć lub sześć. Znikli mi za wsią, w uiodaleko rozciągającym się lesie.

Po przejściu grup oficerskich, mijający się po wsi żołnierze ruscy zaczęli spędzać siedzących lub w miejscu <sup>drepczących</sup> ~~odpowiedzi~~ wielu uciekinierów, do leżącej w pobliżu wsi obszernej kotliny. Po dość długim czasie - mimo, że schować się było całkiem łatwo - poszedłem i ja do owej kotliny. Obszerne wgłębienie terenowe wypełniło się dużym tłumem. Trudno mi dziś określić przypuszczalną liczbę zgromadzonych w kotlinie mężczyzn, bo byli tam wyłącznie mężczyźni. Mogło tam być wszystkich około 2 tysiące ludzi. W trakcie wypełniania się kotliny, spojrziałem na jej brzegi ~~górzące~~ <sup>górzące</sup> znacznie nad wgłębieniem. Spojrzałem i wierzyć oczom nie chciałem. Nad kotliną, lufą w ~~dół~~ zawisł jeden karabin maszynowy, drugi, trzeci ... Wreszcie z zajeżdżającego czołgu wysunęła się lufa armaty. Czołgów było chyba trzy. Zacząłem zastanawiać się nad celowością zainstalowania karabinów maszynowych i czołgów. Nie umiałem sobie wytłumaczyć zaistniałej sytuacji. A tymczasem w kotlinie kilku uzbrojonych oficerów sowieckich ustawiało się w dwa rzędy, środek zostawiając wolny. Padł rozkaz -

wychodzić. Do utworzonej "brauki" podchodzili po kolei wszyscy, pokazując dłonie, skwapliwie przez oficerów oglądane. Oględziny decydowały albo o przejściu dalszym i wyjściu z koliny, albo skierowaniu oglądanego do tworzącej się grupy niedaleko "dyżurujących" oficerów. Wyszedłem na pobliską drogę i stanąwszy za drzewem bacznie obserwowałem co działo się w kotlinie. Po godzinie lub może i dłuższym czasie, po dokonaniu przeglądu wszystkich zgromadzonych, odseperowaną grupę ustawiono czwórkami, otoczono konnymi strażnikami, z których każdy trzymał w ręku rewolwer i poprowadzono. Dokąd? Nie wiem. Nie dowiedziałem się tego nigdy. Zanim kolumna, licząca około 400-500 ludzi znikła mi za zakrętem drogi zdołałem zauważyć, kto w niej przeważał. Byli tam przede wszystkim podoficerowie, policjanci/którzy nie zdążyli zrzucić granatowych mundurów/, lepiej ubrani cywile i wielu innych wcielonych do kolumny z powodów wiadomych tylko oficerom segregującym zebrany tłum.

Po przyjrzeniu się tej całej "operacji", gdy znikły karabiny maszynowe i czółgi, a kotlina opustoszała, zdałem sobie sprawę, że nie znalazłem się w maszerującej kolumnie tylko dlatego, że miałem na sobie mundur prostego żołnierza, że wiedziony niewytłumaczalną intuicją nie ozdobiłem swych narasieniów biało-czerwonym sznurem podchorążego i nie dodałem trzech "Balek" plutonowego przysługującego mi po skończonej służbie wojskowej w roku 1935. Ta cechująca mnie zawsze obojętność na różnego rodzaju odznaki wojskowe, tym razem okazała się zbawieniem...Przecież nie trudno przewidzieć gdzie znalazłbym się gdybym nie zrezygnował z mojej szarży i jej odznak!

Minęło jeszcze kilka dni bezcelowej włóczęgi, w ciągu której byłem świadkiem pościgu sowieckiego samolotu za samolotem

polskim. W zasięgu oczu- samoloty przomknęły bardzo szybko - nie spostrzegłem aby samolot sowiecki zbliżył się do polskiego. Postanowiłem wracać do domu. Po drodze znalazłem ulotkę, jedną z wielu tysięcy rozrzuconych z samolotów sowieckich, wyjaśniającą decyzję przekroczenia granicy polskiej przez wojska sowieckie. Dowiedziałem się z tej ulotki, że w wyniku klęski "pańskiej Polski" i ucieczki rządu polskiego do Rumunii, rząd radziecki w trosce o los ludności ukraińskiej i białoruskiej uznał za właściwe przynieść tej ludności wyzwolenie spod ucisku "panów polskich". To samo wyzwolenie odnosiło się do ludności polskiej żyjącej dotąd w straszliwym ucisku burżuazji polskiej.

Wróciłem więc do "wyzwolonego" Sambora, do tych najbliższych, z którymi rozstałem się przed kilkunastoma dniami, nawet nie przeczuwając zmian, które w ciągu tak krótkiego czasu nastąpiły.

Zaczęły urządowanie władze sowieckie, witane z całą serdecznością przez kilku rodzimych komunistów. Miasto zalane zostało tzw. dekoracjami, mającymi ukazać całą istotę zmiany. Roilo się od różnego rodzaju sloganów podkreślających sens "wyzwolenia", na transparentach porozwieszanych w poprzek ulic, bijąc w oczy nieprawdopodobnymi zestawieniami barw. Miasto zostało zalopione afiszami, no i portretami Stalina we wszystkich możliwych pozach. Na każdym kroku napisy, transparenty a wszystko zalane straszliwie rażącymi kolorami, tworząc pozbawioną wszelkiego smaku całość odpychającą i rażącą prymitywizmem i prostactwem.

Patrzyliśmy na to ze zdumieniem i swoistym politowaniem,

nie mogąc dopatrzeć się w tym wszystkim ani sensu ani logiki. Była to jednak przygrywka z pozoru niewinna i beztroska. Chodziło przede wszystkim o to aby nachalną, bezsensowną z punktu widzenia naszych dotychczasowych przyzwyczajęń propagandę oczadzić nas i uspić naszą czujność. Poza prymitywizmem i brakiem wszelkiego smaku artystycznego zaczęła działać wyrafinowana machina terroru, o jakim dotąd uciskani przez Polskę Ukraińcy nie mieli nawet wyobrażenia. Bo oto jak wyglądało faktycznie "wyzwolenie". Już w kilka dni po zainstalowaniu się \* władzy sowieckiej rozpoczęli swoją "pracę" enkawdyści /NKWD/. Więzienie-wcale nie miały budynku - zaczęło się szybko zaludniać. Jakże były powody aresztowań? Kto zna mechanizm działalności NKWD ten aż nasto dobrze wie, że do aresztowania nie trzeba było szukać żadnych powodów. Przyjechał i na Zachodnią Ukrainę - jak nazwano - zajęte obszary dawnych polskich województw Małopolski Wschodniej i fala aresztowań, dobrze znana sowieckim ludziom. Przecież NKWD musiało wykazać się "pracą" na nowych obszarach. Innej pracy poza aresztowaniami i zamykaniem za kraty nie umieli wykonywać. Ludzie wstrzymali oddech, patrząc na siebie i nic nie rozumiejąc. A więzienie z każdym dniem zapełniało się coraz bardziej. Trzeba jednak przyznać władzom sowieckim, że w tej "pracy" nie byli nacjonalistami. Za kratę szli Ukraińcy, Polacy i Żydzi. Sytuacja zaczynała stawać się nie tylko niepokojąca, ale wręcz przerażająca.

Tak mijały dni i tygodnie. Gdzieś chyba pod koniec października lub w pierwszych dniach listopada zorganizowano spontaniczne, wynikające z radości wyzwolonego ludu, ogólno-narodowe głosowanie za wcieleniem obszarów Zachodniej Ukrai-

ny / to samo odnosiło się do Zachodniej Białorusi/ do Związku Radzieckiego. Frekwencja w głosowaniu zamknęła się imponującym procentem głosujących, wynosił on 99,8 % ! ! Tak daleko posuniętej komedii " wyborów " czy " głosowania " , kto tego nie przeżył, nie jest w stanie sobie wyobrazić. Wśród nieprawdopodobnego terronu, NKWD-ści mieli rzeczywiście sporo roboty, by spędzić ociągających się lub tylko niezbyt śpieszących się, do lokali " wyborczych ". Do takich wyborów jednak w " pańskiej Polsce " nikt nie był przyzwyczajony ! W ten sposób został dokonany ważny akt państwowy wcielenia do Związku Radzieckiego " wyzwolonych " obszarów Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Komedii nazwana przejawem woli ludu, stanowiła odąd podstawę prawną zwyczajnego, dokonanego przy nadarzającej się okazji rozboju. Ludzie i to zarówno Ukraińcy, nie darzący dotąd Polski sympatią - mieli do tego uzasadnione podstawy - Polacy i nawet Żydzi zaczęli rozumieć w obrębie jakiegoś prawa znaleźli się i co najsmutniejsze, że nie było na to żadnej rady. Powagę sytuacji zaostrzał jeszcze wzrastający z dnia na dzień ubytek towarów w i w ślad za tym rysujący się niedostatek. Co było do wykupienia z polskich zapasów po sklepach zostało wykupione do końca. Żołnierze sowieccy przyszli na " wyzwolone " tereny zaopatrzeni w znaczne ilości pieniędzy. Kupowali więc wszystko co popadło. Największym jednak popytem cieszyły się zegarki, wykupywane przez żołnierzy bez jakiegokolwiek wyboru. Korzystali z tego nasi spryciarze przynosząc na sprzedaż nie tylko od lat nie chodzące zegarki, niekiedy przeżarte przez rdzę, ale najzwyczajniejsze kompasy, które kupowane były jako zegarki. Handelek kwitł w najlepsze. Dochodziło bardzo szybko do tego, że nasi ludzie zgromadzili znacznie

ilości rubli, tylko niewiele można za nie było kupić. Żadne bowiem towary - wbrew początkowym nadziejom przede wszystkim ludzi starszych, pamiętających Rosjan z pierwszej wojny światowej - nie dochodziły do opustoszałych sklepów. Było za to wiele gazet, broszur, plakatów i innego "sprzętu" propagandowego. Cóż wobec takich "nowości" mógł znaczyć coraz ostrzejszy brak tłuszczów / masła, smalcu/, mięsa i innych najniezbędniejszych artykułów, których niedobór jako tako mogli zaspokoić nie pozbawieni jeszcze swojej własności - chłopci.

Dla ilustracji zaistniałej sytuacji przytoczę pewien fakt, tak- zaznaczam to z góry, nieprawdopodobny- że będę poświadczony o złośliwym wymyśle; zaręczam jednak za jego autentyczność. Fakt ów miał miejsce w pewnej wiosce, oddalonej od Sambora o 18 km, w środowisku nauczycielskim. W wiosce tej nauczycielką była moja narzeczona-Hela. Nie miałem i nie mam żadnego powodu nie wierzyć jej relacji.

Od ośmiu miesięcy zatrudnieni nauczyciele nadaremnie oczekiwali na jakiegokolwiek, należne im pobory. Utrzymywali ich chłopci / była to wieś Więtkowice o ludności ukraińskiej/, którzy już w ciągu tego krótkiego czasu całkowicie rozszyfrowali rzucającą się w oczy rozbieżność pomiędzy głoszonymi hasłami a z każdym dniem coraz bardziej rosnącą ponurą rzeczywistością.

Korzystając z obecności inspektora i podinspektora, którzy przyjechali na wizytację, dyrektor szkoły zwrócił się do przedstawicieli władzy z prośbą o uregulowanie trudnej sytuacji swoich kolegów. Dla uzyskania lepszego efektu zaprowadził reprezentantów władzy radzieckiej do wiejskiego sklepu, całkowicie pustego. Nie było w nim nic. Ten widok miał przyczynić

się do uzdrowienia położenia nauczycieli. Po odjeździe inspektora, nauczyciele wraz z dyrektorem, pełni nadziei zaczęli oczekiwać na efekt podjętych kroków. Po mniej więcej dwóch tygodniach przyjechali, ten sam inspektor z nieodstępnie towarzyszącym mu podinspektorem. Zwołano nauczycieli na konferencję. Zagaił ją sam inspektor mówiąc / po rosyjsku/ w sposób następujący: Dyrektor szkoły tow.II. skarżył się, że nauczyciele nie mogą sobie niczego kupić w miejscowym sklepie, bo brak w nim towarów. A my z tow. podinspektorem byliśmy niedawno w sklepie i widzieliśmy: cukier, mąkę, masło i wiele innych towarów. W tym momencie moja Helena nie wierząc własnym uszom, z najwyższym zdumieniem wpiła wzrok w podinspektora, blisko siedzącego. Człowiek ten, widocznie zachował resztki przyzwoitości, bo milcząc przesunął stojące na stole kwiaty, i przesłonił nimi swoją twarz i oczy. Nie trzeba dodawać, że konferencja skończyła się niczym, nikt nie podjął żadnej dyskusji, bo zrozumiano, że gdyby znalazł się ktoś odważniejszy i zarzucił inspektorowi kłamstwo, kto wie czy nie tego samego dnia znalazły się w rękach NKWD. Taka perspektywa nie uśmiechała się nikomu.

Dla sprawiedliwości jednak dodam, że w niedługim czasie zalegające pobory zostały nauczycielom wypłacone, choć sklep nadal świecił pustkami. Osobiście nie mogłem przyglądać się temu co się działo. Jako bezpośredni obserwator dotrwałem w pobliże ogólnonarodowego głosowania, w którym już jednak nie wziąłem udziału. Woląłem narazić się nawet na najgorsze byle w tej komedii nie uczestniczyć. Podjąłem decyzję całkowitego wyłączenia się z życia i zamelinowania

się w domu rodzinnym, z twardym postanowieniem " wyjścia" w momencie usunięcia się armii sowieckiej. Przyznając, że było to ryzykowne postanowienie, a do jego podjęcia popchnęła mnie nadzieja, że taki stan rzeczy, absurdalny i b nonsensowny, a przy tym nacechowany nieprzewidywanymi niebezpieczeństwami, nie może trwać zbyt długo. W pewnym sensie mogłem sobie na to pozwolić, byłem w moim mieście już prawie nieznamy, nie byłem kimś, na kogo zwrócono by uwagę i jego zniknięcie nie mogło wywołać jakiegokolwiek reakcji. Trzeba przy tym przyznać, że moi najbliżsi sąsiedzi, choć nie mogli nie widzieć, że z domu w ogóle nie wychodzę, zachowali chwalebny dyskrecję.

I tak zaczęły mijać dni, tygodnie i miesiące. Codziennie wieczorem, korzystając z ciemności wymykałem się z domu do sąsiada, którego dom położony był o kilkadziesiąt metrów od mojego i tam urządzaliśmy wieczory nasłuchiwania radia z Londynu. Wiadomości więc o tym co dzieje się na świecie miałem możliwie dokładnie, przeżywając wraz z moimi rodzicami wiele goryczy z klęsk towarzyszących naszym sojusznikom. Przecież trzeba było przeżyć wiele zawiedzionych nadziei po naszym szybkim rozbiściu Francji w czerwcu 1940 r, nie mówiąc o poprzedzającym ten fakt zajęciu Danii i Norwegii, wreszcie Jugosławii i Grecji. W tych dniach bezustannych sukcesów hitlerowskiej armii trzeba było wykazać wiele odporności, by nie ulec całkowitemu załamaniu. Nadzieją krzepiącą była wciąż trwająca wojna, a dopóki ona trwa słusznie rozumowaliśmy, wiele się może zmienić. Innej pociechy nie było, tym bardziej, że musieliśmy przeżywać od lutego 1940 r. poczynać, pełne niepokoju i grozy noc, w czasie których każdy warkot mototu stawiał wszystkich we wszystkich domach na nogi. W lutym bowiem - a mroz był siarczysty - ze stacji kolejowej odjeżdżały pierwsze transporty deportowanych



w głąb Rosji. Jakich ludzi najpierw wywieszono, nie bacząc na trudne warunki klimatyczne? Były to rodziny b. oficerów, b. poli-  
ejantów, prokuratorów, sędziów, urzędników dawnego starostwa,  
leśników i osadników nie tylko wojskowych, ale i zwykłych chło-  
pów osadzonych w sąsiedztwie ukraińskich wsi na ziemiach rozpar-  
celowanych dworów. Zrozumiałe zdemerowanie i panika towarzyszy-  
ła kolejnym wieściom o ponownie podstawionych wagonach towaro-  
wych. Jaką męką była taka przymusowa "podróż" w głąb tego piekie-  
nego, nieograniczonego kraju, wiedzą tylko ci, którzy musieli  
i tę gehennę przeżyć, rozstając się z niejedynym zamarznętym  
na śmierć dzieckiem, którego nie zawsze było czym utulić  
i ogrzać. Wyrywano bowiem ludzi ze snu, zawsze odbywało się to  
pod osłoną ~~wywy~~, ciemności nocnych, nie zatem dziwnego, że  
roztrzęsiony i skrajnie zdemerowany człowiek <sup>]</sup> mając niewiele czasu  
do namysłu, NIWD-yści popędzali skwapliwie, nie zawsze był  
w stanie zabrać ze sobą to co było najniezbędniejsze.

Zrodzony pierwszymi deportacjami niepokój o najbliższą przysz-  
łość stał się decydującym nastrojem wszystkich ludzi, których  
los skazał na życie w ramach tzw. prawa sowieckiego. O losach  
Polaków pod okupacją niemiecką nie wiedzieliśmy nic. W wycho-  
dzących gazetach w języku polskim /"Czerwony Sztandar"/ nie można  
się było niczego dowiedzieć. Nie ukazywały się w tych gazetach  
najmniejsze nawet notatki o życiu w Generalnym Gubernatorstwie.  
Trzęsącym się z obawy ludziom wydawało się, że chyba tamtym  
Polakom, pod opieką bądź co bądź kulturalnego narodu wiedzieć  
się chyba zupełnie inaczej. Jak byliśmy naiwni przekonaliśmy się  
nieco później. Nie rozumieliśmy milczenia sowieckiej prasy,  
ani domyślając się, że w całej krasie kwitnie sojusz hitlerowsko-  
stalinowski, sojusz i solidarność dwóch rozbójników.

Dni, tygodnie i miesiące ciężko mijały. Wciąż żyło się pod

naciskiem władzy radzieckiej, nigdy nie wiedząc kiedy i w jakim momencie spadnie cios - aresztowanie lub wywóz w głąb tej przeklętej ziemi.

W bezsilnym oczekiwaniu na coś, co ~~mi~~ mi się wydawało iż musi nastąpić próbowałem zapełnić czas ciągłym czytaniem dostarczanych mi przez bliskich znajomych książek, starych gazet i pism. To dawało wiele zapomnienia o ponurej rzeczywistości. Po całodziennym czytaniu, wieczorem spieszyłem do sąsiada by wysłuchać aktualnych komunikatów radiowych, ciągle jednakowo smutnych i nie nam właściwie nie mówiących. Wciąż na coś czekaliśmy. Oczekując, by nie wpaść w nieuleczalne rozdrażnienie połykałem książki jedną po drugiej. W ten sposób przeczytałem całą Orzeszkową, robiąc z aktualnej lektury wiele notatek. Pod wpływem lektur zacząłem nawet pisać, do żywego poruszony "działami" Wandy Wasilewskiej, w których bardzo szybko odkryłem właściwą wszystkim doktry<sup>ny</sup> zaciętką, a ~~nie~~ <sup>nawet</sup> niewólniczą wierność wyznawanej doktryny, zaciemniając nie tylko oczy, ale i mózg. Bo jeśli Wasilewska widziała niedolę chłopca polskiego pod rządami " polskiej burżuazji", to czym wytłumaczyć można całkowitą jej ślepotę na los chłopca, który znalazł się po "wyzwoleniu" pod władzą rządu robotniczo-chłopskiego? Cała przecież niedola w pańskiej Polsce tak jasrawo opisana przez Wasilewską, była w stosunku do piekła w sowieckim porządku niewinną sielanką. Ale tego wszystkiego Wasilewska już nie widziała zamroczona czerwoną gwiazdą i zasugerowana treścią propagandy o szczęściu ludu pod rządami sowieckimi.

Miałem na szczęście do dyspozycji wiele książek naprawdę wartościowych, pozwalających oddychać czystym powietrzem,

będących orzeźwiającyim technionem wiatru, wymiatającego wszystkie trucizny nawiane przez otaczający mnie świat. Jedną z takich książek był Wacława Małkowskiego szkice i krytyki psycho-społeczne zatytułowane "Jednostka i ogół" / wydane w Krakowie 1904 r./. Czytanie tej książki miało smak spożywania najwspanialszych potraw żywiących ducha, umysł i serce płodami wielkiego umysłu. Pod jej wpływem napisałem dość duże studium : "Wacław Małkowski jako pisarz społeczny". Nigdy to studium nie zostało opublikowane, ale pozostało mi do dziś jako niemy i wymowny świadek moich prób ratowania się przed zalem zwątpienia i bliskiej rozpacz. Na szczęście dla mnie podobnych książek miałem więcej i tylko dzięki tym dziełom zachowałem zdrowy rozsądek, a może trafniej mówiąc - nie zwariowałem, co byłoby zupełnie naturalną reakcją na ~~xxx~~ sowiecką rzeczywistość.

Zagłębiając się w świat książek, dzięki różnym jej gatunkom i idącym w ślad za nimi długo trwającym przemysłom napisałem nowy artykuł pt. "Historia i socj<sup>o</sup>logia". W oparciu o skromną literaturę próbowałem omówić stosunek tych dwóch podstawowych nauk o człowieku. Powstała pewna całość, która zachowana przez moją żonę Helenę ukazała się drukiem na łamach "Wiedzy i Życia" w roku 1949 / Nr 6-7/. Nie spodziewając się że moje próby pisarskie ujrzą kiedykolwiek światło dzienne, czytałem to pod przemożnym nakazem wewnętrznym, wiedząc na pewno, że jest to ratunek i ucieczka przed sowiecką rzeczywistością. W takim nastroju minęło z górą półtora roku. I wreszcie rankiem dnia 22 czerwca 1941 roku obudziliśmy się pod przemożnym wrażeniem, że stało się to na co wszyscy oczekaliśmy. Całe chmury lecących na wschód samolotów niemieckich wyraźnie wska

zywały ,że zaczęła się inwazja armii hitlerowskiej przeciwko swojemu dotychczasowemu sojusznikowi i współnikowi. Wieści radiowe usłyszane wieczorem w całej rozciągłości potwierdziły fakt, rozpoczęcia się wojny hitlerowsko- sowieckiej. Jak w latach 1914- 1918 dwaj zaborcy Polski, po święto dokonanej grabieży stanęli przeciw sobie z bronią w ręku. Musiało to mieć dla nas podobne znaczenie jak niegdyś. Stąd wybuch nowych namiętności, choć trudnych do skonkretyzowania i uściślenia.

Armia sowiecka szybko opuściła zajęte w 1939 r. terytorium. Widać było jak luźne, małe oddziały przemaszerowały ulicą przedmieścia, przy którym stał mój dom. Wśród żołnierzy nie trudno było dojrzeć nawet z daleka / podchodzenie bliżej było zbyt niebezpieczne/ wyraźne pomieszanie i zdenerwowanie. Wraz z żołnierzami, chyba przed żołnierzami, ulotniły się z miasta władze. Przed wkroczeniem Niemców nastąpił krótki, okres - dwu lub trzydniowy - " bezkrólewia", a w *ślad* za tym przyczajonego oczekiwania zaniepokojonych mieszkańców. Na drugi dzień " bezkrólewia" przez miasto przeleciała piorunująca wieść o trupach wymordowanych więźniów na dziedzińcu miejsowego więzienia. Nie wytrzymałem. Popędziłem do więzienia. Było tam już wielu ludzi. Z dziedzińca trupy zdążono sprzątnąć. Kto to uczynił - nie wiem. Ale koło budynku administracyjnego, stojącego nieco na uboczu skupiła się poważna grupa obserwatorów z przerażeniem wskazująca okna piwniczne budynku. Podeszedłem do tych otwartych okien, z których unosiła się przedziwna chmura. Zbliżywszy się poczułem przekokropny fetor. Zakrywszy nos chusteczką wpilem oczy w głąb piwnicy. To, co zobaczyłem pozostanie mi na zawsze w pamięci. Dwie przytykające do siebie piwnice, kształtem i powierzoną im przypominające dwie izby dobrze urządzonej sutereny

wypełnione były od podłogi prawie pod sufit leżącymi ludźmi, naskładanymi na siebie niezłym polana drew na leśnych polanach. Ciała były już w dość poważnym rozkładzie. Stąd ten fetor i stanowiły masę niemożliwą do rozpoznania. To była straszliwa pozoszałość po zbiegłych NKWD-dystach. To było ich krwawe dzieło akcentujące i ukazujące cały "wyzwoleńczy" porządek sowiecki.

Przypływająca obok więzienia Młynówka poniosła ciała innych pomordowanych, daleko od więzienia. W odległości bowiem około 2 km ujrzałem - idąc na drugi koniec miasta - pod niewielkim mostkiem trupa "wyzwolonego" chłopca, strój wskazywał ten stan, ~~krax~~ lat około pięćdziesięciu.

Jak się w niedługim czasie okazało i co stało się powszechnie wiadome, takie żniwo śmierci pozostawili we wszystkich miastach wojewódzkich i powiatowych, tam wszędzie gdzie trzymali byli więźniowie. Np. sławetne "Brygitki" lwowskie, po ~~wspieraniu~~ <sup>wymiar</sup> ~~wspieraniu~~ <sup>deprawacji</sup> więźniów zostały podpalone.

Zanim wkroczyli Niemcy, chyba w nocy z drugiego na trzeci dzień "Bezkrólewia", jak przekonaliśmy się, wielu bowiem wciąż wracało do więzienia, trupy z obu piwnic zniknęły i tylko świeżo rozkopana i nieco udeptana ziemia na dziedzińcu wskazywała, że chyba NKWD, dyscyplina, bo ktoś by inny? - wrócili i zacierali za sobą ślady swych zbrodni.

Pragnę podkreślić, gdy o tym opowiedziałem w parę lat później pewnej znajomej komunistce, zarzuciła mi nieprawdę, twierdząc, że do takich czynów zdolni byli tylko gestapowcy. Niestety - wiemy, aż nadto dobrze, do czego zdolni byli siepacze z trupami czaszkami na czapkach, ale czas wreszcie w opactwie o najbardziej autentyczne spostrzeżenia powiedzieć, że do takich bestialskich czynów zdolni byli także NKWD-yści. Przecież

widziane przeze mnie trupy, pobitych ludzi, będące jak wspom-  
niałem w poważnym rozkładzie, nie mogły być dziełem Niemców,  
których jeszcze nie było !

Weszły wreszcie oddziały hitlerowskie do miasta. Miałem  
okazję oglądać młodych żołnierzy, którzy ze śpiewem maszerowa-  
wali ulicami, ze zdumiewającą, właściwą zwycięskim/narazie !/  
Niemcom pewnością siebie i butą. Widziałem również prowadzonego  
przez tych samych żołnierzy, jednego ze schwytanych ruskich.  
Mówiono iż był to jeden ze strażników więzienia. Zmaltretowa-  
ny i zrezygnowany szedł otoczony strażą, a towarzyszyły mu  
wrogie okrzyki zebranych ludzi. Tym jest wszędzie jednakowy.  
Czy zresztą można się dziwić tym wszystkim, którzy tyle wycier-  
pieli, tyle przeżyli strachu i niektórzy w więzieniu stracili  
swoich bliskich , że uczucie litości do bezbronnego człowieka  
miało stało się czymś obcym ? Jaki był dalszy los tego człowieka,  
nie wiem. Powtarzano uporeczywie, że Niemcy go rozstrzelali,  
co chyba zgodne było z prawdą.

Któregoś z tych pierwszych dni, dość późnym wieczorem miasto  
moje zostało ostrzelane, stojącą w nieznanym mi miejscu arty-  
lerią radziecką. Niemcy nie odpowiedzieli ani jednym strzałem.

O kilkunastu wybuchach artyleria rosyjska umilkła i nastąpiła  
cicha, czerwona noc. Gdzieś daleko zapewne grzmiały armaty  
i terkotały karabiny, koło mnie było cicho i spokojnie.

Nawiąsem dodam, że ucieczka czerwonej armii była tak szybka-  
iż zdawało nam się wszystkim, podobnie myślącym- jaka to jednak  
była armia słaba ! Później dopiero oficjalnie wyjaśniano pierw-  
sze sukcesy niemieckie zaskoczeniem i uzyskaną stąd przewagą.  
Jeśli nawet tak było, nie świadczyło to o przenikliwości poli-  
tycznej i umiejętności przewidywania wszechwładnego dyktatora,

do niedawna przyjaciela Hitlera- Stalina.

Rozpoczął się nowy rozdział w życiu naszego miasta, podobnie jak i wszystkich terytoriów zajętych w ciągu kilku tygodni przez armie hitlerowską. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że marsz tej armii na wschód był o wiele szybszy niż we wrześniu 1939 r. w Polsce. A tyle nasłuchaliśmy się kpin z polskiej armii z września. Teraz mieliśmy lichą satysfakcję, że "niezwyciężona" armia czerwona uciekała na wschód w tempie bardzo przyspieszonym. Wystarczy odnotować zbyt dobrze znany fakt, że już pod koniec października względnie na samym początku listopada hitlerowcy doszli niedaleko Moskwy. To ~~prawd~~ prawda, że Moskwy nie zdobyli, ale to już zgoła inna sprawa. Mówiąc o tym chciałbym wyjaśnić rzecz podstawową, mianowicie, nikt z Polaków nie życzył zwycięstwa Hitlerowi, zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z konsekwencji takiej ewentualności. Równocześnie jednak, zbyt gorzko doświadczeni przez sąsiada wschodniego, nie mogliśmy nie cieszyć się z jego świeżych klęsk. Nemezis dziejowa płaciła Sowietom za ~~zbrodnie~~ przekroczenia granicy polskiej w dniu 17 września, w momencie gdy krwawiliśmy tak obficie w toczącej się jeszcze walce z hitlerowskimi hordami. Trudno było równocześnie nie myśleć z goryczą, jak niewiele ~~znaczą~~ znaczą dla miłującego pokój Związku Radzieckiego podpisane przez niego umowy. Przecież między Polską a Sowietami był podpisany pakt o nieagresji! Nie myśmy go złamali. A tłumaczenie, że wejście na terytorium Polski, gdy nie było już rządu polskiego, który uciekł do Rumunii, nie wytrzymuje krytyki w świetle prawdy, że rząd polski przekroczył granicę rumuńską na wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski.

Wróćmy do zwyczajnych dni, jakie zaczęły płynąć pod rządami nowozaistniałej władzy hitlerowskiej. Zostaje zorganizowany nowy dystrykt<sup>u</sup> Galizien i powołana do życia cała administracja. Powstaje cały szereg nowych urzędów i instytucji, w których zatrudniani są Polacy i Ukraińcy. Ci ostatni szybko rozczarowali się sądząc, że Hitler na zdobytych terenach powoła do życia państwo ukraińskie. Niemcy realizowali własne cele ani oglądając się na czyjekolwiek interesy. Wywołało to wzrastającą z ~~dn~~ każdym dniem niechęć Ukraińców do Niemców, maskowaną sztuczną zyczliwością podyktowaną względami praktycznymi. Ten stan rzeczy przyniósł już w niedługim czasie tragiczne dla Ukraińców skutki. Stosunek ~~do~~<sup>zaś/</sup> Niemców do Polaków nie przybrał takich form, o jakich dowiedzieliśmy się teraz, a jakie <sup>stosowane</sup> ~~stosowane~~ były w Warszawie i w całej Generalnej Guberni. Nie wiem jakie względy zadecydowały o tym, że w nowym dystrykcie nie szalał terror tak powszechnie stosowany w innych rejonach Generalnej Guberni, używając nazwy wprowadzonej przez okupacyjne władze. Życie na razie toczyło się bez wstrząsów i denerwujących zarządzeń. Jedynym zajęciem, któremu oddawałem się bez przerwy to było słuchanie radia codziennie wieczorem. Rozkazu, który został ogłoszony o oddawaniu aparatów radiowych mój sąsiad nie usłuchał. Codziennie wieczorem wydobywał go ze sporządzonego schowka i zaczynaliśmy seans słuchania Londynu. Mimo ryzyka, jakie pociągało za sobą posiadanie aparatu ~~radi~~ radiowego, do końca pobytu hitlerowców słuchaliśmy codziennie, coraz ciekawszych wiadomości.

Bez względu na to co miała przynieść przyszłość położenie nasze o tyle się wyjaśniło - że dwaj nasi śmiertelni wrogowie obdzierali się nawzajem ze skóry, co chyba było wodą na nasz młyn. Nie muszę ~~nie~~ dodawać, że nadzieje nasze związane



z działalnością Sikorskiego w oparciu o Anglię, nie tylko nie słabły, mimo bardzo bolesnego doświadczenia z września 39 roku, ale chyba wzrosły. Czegoś przecież trzeba się było trzymać, i choć świadomość o niedotrzymaniu zobowiązań przez naszych sojuszników była głęboko zakorzeniona w naszych umysłach, zdawaliśmy sobie sprawę, że innego wyjścia nie ma. Wciąż czekaliśmy na jakieś konkretne poczynania Anglików na Zachodzie. Przecież bitwa o Anglię z 1940 r. nie mogła być tylko epizodem bez znaczenia. Jej wygranie, chyba rozumowaliśmy słusznie, to początek poważnych operacji na Zachodzie.

W oczekiwaniu na te operacje śledziliśmy z uwagą komunikaty z wojny na wschodzie. A tam odbywało się solidne obustronne pranie. Z tego prania coś i dla nas los musiał przynieść. Układ bowiem Sikorskiego ze Stalinem z końca lipca ~~1941~~ 1941 r., zawarty w imię realizmu politycznego, miał zapoczątkować nie tylko sojusz wojskowy, ale i zmianę stosunków z rządem emigracyjnym. Bez względu na opozycję, na jaką trafił Sikorski w łonie <sup>własnego</sup> ~~naszego~~ rządu - realizm mimo wszystko do głów b. sanacyjnych dygnitarzy nie dotarł - układ ze Stalinem uratował wiele tysięcy Polaków, żyjących w przeklętej ziemi rosyjskiej, od ostatecznej zguby. Warto o tym pamiętać. Żyliśmy <sup>cięż</sup> pod wrażeniem tego, co działo się na świecie a o czym dowiadywaliśmy się, przynajmniej w skrótach z londyńskiego radia.

Życie codzienne toczyło się bez jakichkolwiek wstrząsów i rewolucji. Faktem, który z całą grozą przypominał niedawne dni władzy NKWD-dystów było przypadkowe odkrycie nad Dniestrem, przy tzw. "Nowym Świecie" mogiły pomordowanych ludzi. Po rozkopaniu oczom ludzkim przedstawił się okropny

widok. Ciała były już w poważnym rozkładzie. Jeszcze jedno dzieło "wyzwolicielei" spod znaku czerwonej gwiazdy. Nie mogło być żadnej wątpliwości kto dokonał tej masowej zbrodni.

~~Wypowiedzi~~ W odkrytym grobie było około sto ofiar, niektóre z nich miały powiązane ręce drutem. Na przypuszczenie, że takich zbrodni dokonywali Niemcy, mogę tylko jedno powiedzieć. Jeszcze na to nie mieli czasu, a stan ciał wykazywał, że mogło to się stać tylko przed 22 czerwca 1941 r. Nie mam oczywiście najmniejszego zamiaru usprawiedliwiania lub "wybielania" hitlerowców. O ich wyczynach za chwilę, ale że nadniestrzańskie ofiary były czynem NKWD nie może ulegać żadnej wątpliwości.

U nas jeszcze nie było żadnych aresztowań dokonywanych przez Gestapo lub żandarmerię. Nad masową mogiłą postawiono obelisk z napisem "Ofiarom czerwonego terroru". Dziś stoi na tym miejscu, zapewne ten sam obelisk ale zmieniono na nim napis na: "Ofiarom faszyzmu". Wszystko by się zgadzało, gdyby tylko do tego nowego napisu dodać jedno słowo "czerwonego".

Żadnych innych odkryć tego makabrycznego typu już więcej nie dokonano.

Mijające zaś dni i tygodnie odsuwały w coraz dalszą przeszłość niedawną rzeczywistość i trzeba było robić wszystko by przyzwyczajać się do nowego porządku. Podkreślałam rzecz niezwykle znamiennej i zupełnie dla mnie nie wytłumaczalną. W pierwszych kilku miesiącach władzy hitlerowskiej nie było żadnych wieści o aresztowaniach lub tym bardziej o jakichkolwiek egzekucjach. Życie toczyło się dziwnie spokojnie. Trzeba było pomyśleć o jakimś zatrudnieniu.

W lutym 1942 r. zgłosiłem się do świeżo zorganizowanego urzędu pod nazwą "Landinspektion". Zostałem przyjęty i zatrudniony w charakterze rysownika, a więc równoległo z tym stałem się pomocnikiem inżynierów-geodetów, których trzeba było tu zatrudnić, nie licząc dwóch mierniczych. Wśród inżynierów był jeden Żyd/Fischer/, podobnie jak wśród personelu pomocniczego /Hausmann/. Szefem biura był Karol Nowak - chyba gdzieś ze Śląska - świetnie władający językiem polskim, podobnie jak niemieckim, paradujący z odznaką NSDAP w klapie marynarki. Mimo bardzo niesympatycznego wyglądu okazał się szefem nieszkodliwym, zajęty przede wszystkim interesami, które różnymi jemu tylko wiadomymi sposobami załatwiał, zawsze z korzyścią dla siebie. Typowy hitlerowiec, który na tyłkach zbijał majątek, a może lepiej - troszczył się o swoją przyszłość. Dopóki było możliwe prawą jego ręką w robieniu interesów był wspomniany inż. Fischer. Od momentu decyzji o wprowadzeniu getta - powstało ono w odrębnej odrębnej dzielnicy Sambora, od dawna zamieszkałej przez biedotę żydowską, zwaną "Blichem" - inżynier jeszcze jakiś czas pracował aż pewnego dnia nie zjawił się do pracy i więcej już go nie widzieliśmy. Podzielił los wszystkich Żydów.

Widziałem organizowane tzw. "akcje" przeciw Żydom. Był to chyba rok 1943 i 1944. W tych akcjach mogliśmy zobaczyć właściwe oblicze hitleryzmu. Ulice zasłane trupami uciokających Żydów. Straszliwa, niezdefiniowana atmosfera mordu unosiła się nad miastem. I pomyśleć, wszystko to uczyniono ludziom, których całą winą było, że urodzili się Żydami. Ostatnią "akcję" widziałem, chyba w czerwcu 1944 r. Spędzon

resztę Żydów, po likwidacji getta, do gmachu więzienia. Co pewien czas podjeżdżały ciężarowe samochody, z dwoma policjantami ukraińskimi na szoferce i po załadowaniu tylu ile można było załadować, odjeżdżały w kierunku wsi Radłowice / na <sup>pld-wsch.</sup> ~~podnów~~ od miasta/ i w jednym z najbliższych lasów dokonywano bestialskiej egzekucji. Było w tym wszystkim coś tak przerażającego, że mimo przepięknego dnia czerwcowego ciężka chmura opadała na serce. Wierzyć się nie chciało mimo ~~xxx~~ potwornej rzeczywistości, że coś podobnego może mieć miejsce w połowie XX wieku. Przerazała przy tym bezkarność z jaką dokonywano masowych zbrodni w majestacie tzw. prawa hitlerowskiego. Jeszcze bardziej chyba przerażająca jest cisza o tych zbrodniach, we współczesnym świecie. Jaka jest perspektywa przed ludźmi ? Nie mam odwagi odpowiedzieć sobie na to.

A tymczasem niby normalne życie płynęło ,dzień do dnia był podobny, i aż wierzyć się nie chciało, że gdzieś daleko giną ludzie na frontach i ~~xxx~~ wre straszliwa wojna. Gdzieś w połowie 1943 roku zostałem wydelegowany do pracy w podobnym urzędzie, do niedaleko od Sambora leżącego / 32 km/ Drohobycza. Dojeżdżałem codziennie, ani się spodziewając jaki może mnie spotkać los lub co zobaczę moje oczy.

Pewnego dnia idąc do biura w Drohobyczu ujrzałem pod ścianą kamienicy leżące jedno na drugim zwłoki rozstrzelanych przed niedawnym czasem ludzi. Nie zakrzepłe kałuże krwi najdowodniej świadczyły o świeżości przeprowadzonej egzekucji. Wśród rozstrzelanych widziałem młode dziewczęta i starszych mężczyzn. Byli to przeważnie Ukraińcy- nie jestem pewny czy wśród zamordowanych nie było Polaków. Była

to forma- jakże dobrze znana na pozostałych obszarach Polski-  
odwetu za jakieś nieznanne mi bliżej akcje przeciwko Niemcom.

Nimo bowiem zaangażowania niektórych Ukraińców do szere-  
gów prohitlerowskiej policji, między Ukraińcami a Niemcami  
nie było zgody. Każdy przejaw niezadowolonia zbyt ostro  
ujawniony przynosił krwawe rezultaty. Na własnę oczy ogląda-  
łem na ulicach Drohobycza dwukrotnie poegzekucyjny "plon".  
Czy było ich więcej - nie wiem. Wróciłem ponownie do Sambora,  
gdzie takich egzekucji nie było ani razu.

Rok 1943 przyniósł wiele ważnych zmian, nie tylko w skali  
światowej. Pierwsza to zdecydowana klęska wojsk hitlerowskich  
nad daleką Wołgą, pod Stalingraem, która we wszystkich kra-  
jach okupowanych wzbudziła zrozumiałe nadzieje na szybko  
wyzwolenie. Żałoba ogłoszona przez Hitlera nikogo z nas  
nie interesowała. Bardziej bolesnym dla Polaków stał się  
dzień 4 lipca- śmierć generała Władysława Sikorskiego. Wieść,  
która usłyszeliśmy z radia o katastrofie pod Gibraltarem  
zamieniła nas w kamienie. Urwała się myśl, co dalej, ~~prze~~  
pozostała świadomość niepowetowanej straty. Co gorsza tuż po  
komunikacie zrodziło się we mnie doądnia dzisiejszego niepo-  
dważone przekonanie, że Sikorski padł ofiara zamachu. Dla  
zbyt wielu był ten człowiek niewygodny. Wobec takich wyda-  
rzeń bladły wszystkie sprawy dnia codziennego, a przyszłość  
rysowała się niepewna i groźna. W takim to czasie, trudnym  
pod każdym względem, w moim osobistym życiu, zmienionym, w po-  
przednim roku przez zawarcie związku małżeńskiego z moją  
Heleną, urodziła nam się córka, której daliśmy imię Jadwiga.  
Zamieszkałem w domu moich teściów przy ulicy Wschodniej, odda-  
lonej od domu rodziców, około 2 km.

Życie było ciężkie, szczególnie w roku 1942. Nieurodzaj poprzedniego roku, ostra zima, bardzo trudny przednówek doprowadził na wiosnę do sytuacji głodowej. Ratując się przed głodem, nie muszę dodawać, że przyznane racje kartkowe były najzupełniej nie wystarczające, ludzie organizować zaczęli wyjazdy w zasobniejsze okolice dla zdobycia mąki, tłuszczu lub kaszy. W niebezpieczną drogę po prowiant udawały się przeważnie kobiety, dla mężczyzn była taka droga znacznie niebezpieczniejsza. Pojechała w Sandomierskie z kilkoma koleżankami i moja Hela. Oczekiwanie na powrót było bardziej niż nieznośne. Niejsca nie można sobie było znaleźć, dopóki, ~~m~~mordowana ale z pełnym plecakiem nie zjawiła się Hela. Mąkę przywieziona była bardzo drogo zapłacona. Nie wszędzie trafiali się ludzie życzliwi, którzy rozumieli niedolę przyjeżdżających i to z dość daleka. Niektórzy sądzili, że przyjeżdżają w celach spekulacyjnych. A powrót ~~z~~ ze szczęśliwie wypełnionym plecakiem <sup>iu/</sup> narazie na wielokrotne szykany "banszuców", których nie sposób było uniknąć. Niejednokrotnie trudny ~~trud~~ kilku dni kończył się brutalnym odebraniem tak ciężko zdobytego prowiantu, a bywały przypadki ~~in~~ nie tak znowu rzadkie, że schwytni na stacji kolejowej ludzie wędrowali do obozów. Nadaremnie zgłodniałi oczekiwali na ich powrót.

Żona moja wracając /jeździła dwa razy/ z drugiej "wyprawy" ryzykując wiele schroniła się z dwiema koleżankami do wagonów pełnych żołnierzy wracających z urlopu.

Żołnierze pytali jaki jest powód ich strachu. Żona wyjaśniła im, najlepiej mówiąca z trójki, po niemiecku, że na jednej ze stacji, szczególnie bestialsko traktuje ludzi jeden z "banszuców" a przecież jeździmy dodawała żona, zmuszeni głodową sytuacją.

Dojechawszy do stacji, na której "urzędował" ów "banszuc", wskazano go żołnierzom. Wyszli z wagonów i niby przypadkowo zetknęli się z gorliwym stróżem prawa hitlerowskiego. Skończyło się to dla ~~niekogo~~ tego ostatniego fatalnie. Żołnierze zbili go w okrutny sposób i jak gdyby nigdy nie wsiedli do wagonów. Wyraźnie stwierdzali, że pozafrontowe wszy urabiają opinię wszystkim Niemcom, a późniejsza odpowiedzialność dotknie najmniej winnych. I takie bywały sceny. Obok najbrutalniejszego bestialstwa i bezwzględności, znaleźli się i tacy żołnierze.

Rok 1943 stał się o tyle dla mnie ważny, że właśnie w tym roku, w pierwszych miesiącach jesiennych stałem się członkiem Armii Krajowej. Przypadkowo pewnego dnia spotkałem na ulicy kolegę z lat chłopięcych, którego lat kilka nie widziałem. Pamiętaliśmy go z dziwnego przezwiska, które do niego na trwałe przylgnęło, nazywaliśmy go bowiem "Husyt". Dlaczego, nawet nie potrafię tego wyjaśnić. Po krótkiej rozmowie, korzystając z faktu, że zbyt dobrze znaliśmy się, zaproponował mi wstąpienie do organizacji, o której istnieniu nie wiedziałem. O celach i zadaniach organizacji nie musiał mi wiele mówić. Zgodziłem się i niebawem zostałem zaprzysiężony pod pseudonimem "Tatar". Zaczęłem otrzymywać "Biuletyn informacyjny", parę razy zetknąłem się z przyjeżdżającymi do nas chyba ze Lwowa cywilami / oczywiście byli to oficerowie/, z którymi rozmawiałem o przyszłości ruchu, o jaką Polskę mamy rozpocząć w odpowiedniej chwili walkę, bo stałem na stanowisku, że chyba nie o taką jaką była do września 1939 r. Stwierdziłem, że tak stawiana sprawa nie podobała się tym panom, twierdzili, że o nowej Polsce będzie czas mówić i decydować w chwili jej odrodzenia. Może mieli rację, bo do jakichkolwiek czynów było jeszcze daleko. Moim zaś zadaniem stało się skupywanie broni. Przez pośred-

nictwo krewniaka mojej żony, pracownika kolejowego od czasu do czasu zjawiały się w moim domu karabiny, które bezstrosko stawiałem na półce, nawet nie dbając o ich należyte ukrycie. Korzystałem z faktu, że domek, w którym mieszkałem, składający się z jednego niezbyt dużego pokoju i jeszcze mniejszej kuchni stał na uboczu. Przez całą okupację w sąsiedztwie zjawili się raz lub dwa razy Niemcy. Trzeba jednak przyznać, że właściwie lekceważąc zasady konspiracji, nie dawałem dowodu zbyt wielkiego realizmu. Na szczęście skończyło się to bez jakichkolwiek przykrości. Nawet od czasu do czasu przyjeżdżająca furmanka po karabiny, przyjeżdżała zawsze o zmroku - szczęśliwie kończyła swą podróż, bo nigdy nie doniesiono mi o jakiejś wpadce.

Życie płynęło cicho i skromnie, przy wciąż towarzyszącym nam niedostatku. Próby podreperowania stanu zaopatrzenia staraliśmy się z żoną osiągnąć, wybierając się do wsi, w której żona uczyła podczas władzy sowieckiej. Udało się czasem kupić cielaka i na plecach / w plecakach / przynieść do domu. Nawet spotkani pewnego razu policjanci ukraińscy nie okazali się nader ciekawi i do naszych plecaków nie zaglądali. A przecież nie mogli nie wiedzieć co niesiemy. Zresztą sprawdzenie było łatwe. A jednak tego nie zrobili. Byli i tacy policjanci, o czym warto pamiętać.

Całe zresztą nasze ówczesne życie można było określić jako oczekiwanie. Wszyscy czekali na zmiany, które rysowały się całkiem wyraźnie, szczególnie po klęsce Niemców pod Stalingradem. Coraz wyraźniej rysowała się przed nami perspektywa klęski Niemców i nadejścia Armii Radzieckiej jako wyzwolicieli spod okupacji. Niepokoił nas fakt, że na czele Związku Radzieckiego, jako niepodzielny władca, stał wciąż



Stalin. A przecież nikt nie był w stanie zapomnieć co oznaczało ponowne nadejście armii radzieckiej i towarzyszącej jej oddziałów NKWD. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wrócą jeśli nie ci sami, to tacy sami, o których pamięć z lat 1939-41 nie dała się wymazać z pamięci ludzkiej.

Jedynym niezastąpionym łącznikiem ze światem było wciąż radio. Wprawdzie po przeprowadzeniu się na drugi koniec miasta nie chodziłem już na codzienne wieczorne "przesłuchania" audycji z Londynu, nie mniej wiadomości zbierało się od dobrych znajomych a uzupełniało się czytaniem "Biuletynu informacyjnego", zresztą niezbyt regularnie do nas dochodzącego. Tak minęło lato 1943 roku, po nim jesień i zima. Codziennie na godzinę ósmą udawałem się do biura ,gdzie "pracowałem" do godziny 15-ej. I tak mijaly tygodnie i miesiące. Jedyną ucieczką od okupacyjnej rzeczywistości - choć nie można nie zauważyć, że nie była ona tak koszmarna jak np. w Warszawie - stawał się własny dom. Na szczęście nie odwiedzali tego domu żadni nie proszeni goście. Za jego ścianami nie było wojny, bombardowań i tych wszystkich okropności, których tak wiele doświadczali ludzie w całej niemieckiej Europie. Każdy dzień był bliźniaczo do siebie podobny, i przemijał bez jakichkolwiek śladów. Wstrząs i widoczną oznakę zbliżających się już bezpośrednio do nas zmian przyniósł lipiec 1944.r

Już około połowy tego miesiąca otrzymaliśmy od naszego szefa polecenie spalenia dokumentacji Landinspektionu. Z radością rozrywaliśmy i rzucali w ogień ich zawartość. Nie było co z nich przechowywać. Nie przedstawiały żadnej wartości politycznej. W pa dni po 15 lipca ustała praca, a jak zdołaliśmy się dowiedzieć, przewidujący p. ~~Nowak~~ Nowak/ szef Landinspektionu/ zwinął swoje niemałe manatki i wyjechał ze Sambora. Podejrzewam, że ta

swoista "dalekowzroczność" Nowaka przyniosła mu sukces i że zdołał zainstalować się na ziemiach niemieckich, by tam spożywać "dobrze zasłużony chleb". Niał bowiem na ucieczkę dostatecznie dużo czasu.

Parę dni wyraźnego chaosu odwrotowego przerwało wejście - chyba było to 26 lipca ~~1944~~ 1944 roku - pierwszych patrol radzieckich. Niedaleko mojego domu padł ~~leżant~~ lejtnant, który nie kryjąc się szedł ~~otwrx~~ otwartą drogą, mimo, że marsz można było wykonać idąc ogrodami, jak robili to pozostali żołnierze. Na drugi dzień przyszli towarzysze broni, zabrali poległemu koledze dokumenty, zdjęli z nóg buty i zakopali ciało w pobliskim ogrodzie. Patrzyłem na to i nie mogłem otrząsnąć się z wstrząsającego wrażenia. Szczególnie zdercie z nóg butów było dla mnie wręcz szokiem. Dopatrywałem się w tym braku szacunku dla poległego oficera, choć z drugiej strony realistyczna myśl podpowiadała, że przecież nieboszczykowi buty nie są potrzebne.

Następnego dnia dość wczesnym rankiem usłyszeliśmy wzrastającą z minuty na minutę kanonadę dział. Przybiegł do mnie goniec z rozkazem stawienia się w ratuszu. Ratusz stał się "główną kwaterą" mobilizującego się oddziału AK. W ratuszu zameldowałem się w towarzystwie trzech potencjalnych żołnierzy/ nie wiem czy byli członkami AK/. Byli to dwaj bracia Tadek i Mietek, Skaczyłowic / synowie ciotki mojej żony/ i spotkany w mieście, przybywający wówczas w Samborze, mój brat Jan. Na miejscu ~~drzy~~ mieliśmy opaski biało-czerwone i broń. Ja otrzymałem pepeszę i kilkadziesiąt nabbi, moi pozostali "żołnierze", dwa karabiny Mauser i jeden francuski Lebel / z pierwszej wojny światowej/ ~~ipz~~ po kilka sztuk amunicji.

Wraz z wymienionymi otrzymałem rozkaz udania się na placówkę położoną na południowo-wschodnich krańcach miasta, przy cegielni stojącej niedaleko znanych w Samborze koszar ułańskich, u wylotu ulicy Przemyskiej. Dlaczego zmobilizowano i postawiono oddziały AK w stan pogotowia bojowego? Od północnego - zachodu na miasto nacierali Niemcy, pragnąc - co stało się wkrótce widoczne - opanować szosę i tor kolejowy w kierunku Sianek i przełęczy Użok, jedynej drogi na Węgry. Siły radzieckie w mieście były bardzo słabe. Zmobilizowanie oddziałów AK miało na celu wzmocnić siły radzieckie w rozpoczynającej się walce o miasto. Napór niemiecki wzrastał, Rosjanie zdecydowali się na opuszczenie miasta.

Siedząc na wyznaczonej placówce, a dzień był wyjątkowo piękny i słoneczny, miałem bardzo daleki wgląd na ciągnącą się daleko jak okiem sięgnąłem dolinę Dniestru, którą posuwała się piechota niemiecka. W pewnym momencie nadjechał czołg radziecki z doczepioną niezbyt dużego kalibru armatą. Powstrzymałem maszynę i wskazałem żołnierzom widoczną jak na dłoni piechotę niemiecką. Wówczas żołnierze odczepili armatę i skierowali jej lufę w kierunku Niemców. Oddali dwa strzały - widziałem ~~już~~ pod nogami piechurów niemieckich dwa wybuchy granatów - przyczepili armatę do czołgu i popędzili w kierunku Starego Sambora.

W odpowiedzi odezwało się działo niemieckiego czołgu stojącego w ukryciu wśród zabudowań wioski Zadniestrza/długo nazywanej Neudorfem/. Pocisk uderzył w dach domu ~~na~~ stojącego o kilkadziesiąt metrów od nas, siedzących w wygodnej wnęce. Odezwał się również karabin maszynowy. W tej sytuacji, nadaremnie oczekując na przyrzeczone dalsze rozkazy, postanowiłem sam udać się do naszego dowództwa w ratuszu, który jak mi się zda

to znajdował się nadal w naszych rękach.

I tu zaszła rzecz do dziś dla mnie nie wyjaśniona. Do ratusza prowadziła prosta droga, około 1 lub 1,5 km. Zdecydowałem jednak nie iść tą drogą ale nieco okólną. Skierowałem się w kierunku ulicy Biskowskiej i doszedłszy nią do wiaduktu kolejowego z najwyższym zdumieniem spotkałem cały mój oddział z dowódcą porucznikiem "Promieniem". Przywitano mnie z dużą radością, bo już zaczęto niepokoić się o mój los, a na zgłoszone przeze mnie pretensje, iż pozostawiono mnie w odosobnieniu, nikt nie zdołał mi odpowiedzieć, bo ukazała się piechota niemiecka. Nie pozostało nam nic innego jak wycofać się na pobliski cmentarz, a stamtąd, ostrzeliwani granatami szrapnelowymi/ na szczęście bez skutków/ przesunęliśmy się do wsi Biskowice, leżącej od torów kolejowych Sambory-Sianki około 5 km. Nie trudno z powyższego opisu dopowiedzieć sobie jaki byłby mój los i moich trzech żołnierzy, w wypadku gdybym poszedł prostą drogą do ratusza, nie wiedząc, że całe miasto było już w rękach niemieckich. Prześlizgnąłem się skrawkiem wolnego jeszcze od Niemców miasta i w ten sposób ocalałem. Decydowały w tej sytuacji dosłownie minuty. W takiej samej sytuacji jeden z naszych kolegów, nie zdając sobie sprawy, że północno-zachodnia część miasta- raczej przedmieście Dolna - została zajęta przez Niemców najwcześniej, znalazłszy się wśród znanych sobie zabudowań został przywitany serią z karabinu maszynowego, ginąc na miejscu. Taki sam los byłby spotkał moją grupę, wobec całkowitego braku orientacji w zmienionej sytuacji. Znalazłszy się wśród swoich, najniespodziewaniej w świecie uczuliśmy tuż za nami niemal oddech niemieckiej piechoty. Że nas nie ostrzelano,

do dziś tego nie mogę pojąć. Chyba, że i Niemcy mieli już dość tej całej wojny i pozwolili nam spokojnie przez cmentarz odejść w kierunku wspomnianej wsi Biskowice.

A w wiosce tej roiło się od wojska rosyjskiego. Jak zdołaliśmy się zorientować przygotowywano się do uderzenia na linię toru kolejowego Sambor-Sianki, obsadzonej przez Niemców. W tychże Biskowicach, nie bardzo wiedząc co robić dalej kręciliśmy się pomiędzy wojskiem. W pewnym momencie do grupy kilku z naszego oddziału podszedł jakiś ruski i ujrawszy nasze biało-czerwone opaski, zatrzymał się i głośno wyraził swoją opinię mówiąc / oczywiście po rosyjsku/: wszystkich was będziemy aresztować tylko rozliczymy się z Niemcami. Po usłyszeniu tego swoistego proroctwa aż zakipiałem wewnątrz.

Przyznam się, że miałem szczerą ochotę strzelić w łeb zapija-  
czonemu / robił wrażenie pijanego/ enkawudyście, ale oczywiście było to niemożliwe, o czym on doskonale wiedział.

Nasz dowódca po krótkim okresie-może dwóch lub trzech dni - niemal całkowitego rozprzeżenia zebrał nas wreszcie w "kupę" i pomaszzerowaliśmy w kierunku miejscowości Felsztyn, gdzie w pewnej odległości od tej miejscowości przebiegała linia obrony wojsk niemieckich. Nasz porucznik został wezwany na odprawę, a cały oddział usytuował się nieco z boku stojących czołgów radzieckich. Po pewnym czasie nasz dowódca wrócił i oznajmił nam, że niebawem ruszymy pod osłoną czołgów do natarcia na pozycje niemieckie. Oddział stał w dwuszeregu, było nas około stu ludzi, o dość zróżnicowanym wieku, na ogół przeważali ludzie młodzi, nieco po dwudziestce. Po usłyszeniu tego co powiedział nam dowódca, z mięsca zareagowałem pytaniem: "z czym mamy iść do ataku?" Byliśmy bo-

wiem zupełnie nie<sup>u</sup>zbrojeni. W oddziale nie było ani jednego karabinu maszynowego, zarówno ręcznego jak i ciężkiego, ani jednego granatu, słowem poza karabinami i to nawet jak ~~nie~~ już wspomniałem przestarzałymi lebellami, z niewielką ilością amunicji, bylibyśmy dla znakomicie uzbrojonych Niemców przysłówowymi kaczkami, któreby wystrzelano szybko  $\int$  bez trudu.

Na moje ostro postawione pytanie nasz dowódca zachnął się i krzyknął: nie podoba się panu? i skierował swoją dłoń w stronę rewolweru. Wówczas, stojąc blisko niego i mając wyceLOWANĄ w niego pepesze, spokojnie, ale z odpowiednim przyciskiem powiedziałem: panie poruczniku, jaX będę szybszy! A tuż za mną pochyliły się karabiny najbliższej stojących, z ~~piętnastu~~ pierwszej drużyny. Skonsternowany porucznik, szybko zrezygnowawszy z argumentu rewolwerowego, zapytał: wiec co mamy robić? Padły głosy - w tył zwrot i odmaszerowaliśmy. I tak się stało. Odmaszerowaliśmy i po odejściu paru kilometrów oddział nasz został rozpuszczony.

Zastanawiałem się nieraz nad moim i niektórych kolegów czynem. Dla zawodowego wojskowego, to co się stało miało cechy conajmniej dezercji. Możliwe, Zdecydowałem się na sprzeciw propozycjom wynikającym z odprawy, z bardzo prostego powodu, wysłanie tak uzbrojonego oddziału jak nasz do walki równałoby się jego błyskawicznemu wybiciu do nogi. Jeśli ktokolwiek z naszych chłopców utknąłby przyciśnięty do ziemi ogniem karabinów maszynowych, wówczas do tej ziemi przygwoździłby go serie karabinów z "towarzyszających" nam czołgów radzieckich. Wymyśl. Nie wymyśl, ale dobrze wielu ludziom znana metoda "podpłdzania" do "bohaterskich" wyczynów z zasady kończących się śmiecią na polu chwały. Znamy tę metodę z relacji pewnego Polaka, którego los wplątał w szeregi armii radzieckiej, i który na

własnej skórze odczuł "osłonę" czołgów ! Że się o tym głośno nie mówi, decydują różne racje. Mimo upływu lat od tego zdarzenia nic nie zachwiało we mnie przekonania, że wówczas uratowałem życie co najmniej setce młodych ludzi, których "sojusznik" chciał wysłać na pewną śmierć. W tym przekonaniu znalazłem pełne rozgrzeszenie z popełnionej z punktu widzenia dyscypliny wojskowej winy. Nigdy nie byłem wyznawcą, że każdy rozkaz choćby nawet ewidentnie głupi, należy wykonać.

Tyle było naszej "wojaczki" przy boku armii radzieckiej. Wróciwszy do domu, miałem okazję odwiedzić pole bitwy w pobliżu torów kolejowych Sambor-Sianki. Leżało jeszcze w nieuprzątniętym zbożu wielu zabitych żołnierzy ruskich i co pewien odstęp stały głuche, wypalone wraki czołgów radzieckich. Trupów żołnierzy niemieckich nie dostrzegłem ani jednego, czy zabrano ich ze sobą wycofując się, nie wiem. Nad Dniestrem na przedpolu mojej placówki znalazłem *głób* Niemca, któremu wystawała ręka. Był to rezultat dwóch strzałów armatnich, o czym pisałem.

Rozpoczęło się ponownie życie pod władzą radziecką. Po przejściu wojsk w pogoni za rozbitymi oddziałami niemieckimi, w mieście zainstalowały się władze radzieckie rozpoczynające regularny pobór do armii. Nazwano to później "ochotniczym" zaciągami. Szybko organizowano drugą armię polską, której kadra oficerska składała się z ruskich ludzi. Przynajmniej nie widzieliśmy ani jednego Polaka w "woj<sup>o</sup>skomatach", funkcjonujących jako placówki pohorowe. Korzystając z faktu, że w Samborze zorganizowano Teatr Dramatyczny, do którego zostałem przyjęty jako aktor, zostałem zwolniony od obowiązku przywdziania munduru. Wiele czasu spędzałem w teatrze / w gma-

chu dobrze samborzanom znanego "Sokoła" / gdzie odbywały się bardzo intensywnie prowadzone próby "Zaporożca za Dunajem", znanej opery ukraińskiej. Dyrygent orkiestry składającej się w większości z Ukraińców, już po próbie głosu umiał ocenić "klasę" mojego ~~karayinnego~~ barytonu, decydując się na powierzenie mi głównej roli Kozaka we wspomnianej operze. A konkurencja była wcale nie mała ! Robiłem wszystko, aby okazanego mi zaufania nie zawieść. Tym bardziej, że ~~nie~~ melodie zaporożca same wchodziły w ucho. Premiera - chyba pod koniec listopada lub w pierwszych dniach grudnia / 1944 / - wypadła wręcz imponująco. Ruscy, którzy oglądali spektakl wyrażali zgodną opinię, że głos Kozaka znakomity, ale sam Kozak za mały wzrostem. Zaporożec kojarzył się bowiem niezmiennie z chłopem roslym, a tu na scenie poruszał się niewysoki chłop, choć z dobrym, silnym głosem. Nie pamiętam już ilokrotnie powtarzaliśmy przedstawienie, które cieszyło się dużym powodzeniem. Na scenie czułem się bardzo dobrze i mimo niezbyt wielkiego unuzykalnienia, ani dyrygent, ani orkiestra nie mieli ze mną kłopotów.

Teatr i praca w nim była moim oficjalnym zajęciem, bo równolegle z perypetiami Kozaka podjąłem, zresztą na wyraźne polecenie reprezentanta Komendy Głównej, który pewnego dnia - chyba pod koniec października lub w początkach listopada - zjawił się w moim domu - redagowanie konspiracyjnego pisma, którego głównym zadaniem i celem miało być przeciwstawienie się powstałemu niedawno PKWN-owi. Słów pare o tym, który nakazał mi pracę redakcyjną. Był to wysoki, przystojny mężczyzna, który po oznajmieniu mi kogo reprezentuje, już dziś nie pamiętam, czy okazywał jakieś dokumenty - chyba tak - ni mniej ni więcej określił



rodzaj pracy i jej potrzebę. Pierwsze wrażenie, które na mnie zrobił, było niezwykle dodatnie, swoją postawą nakazywał wręcz najdalej idące zaufanie. Dlaczego mnie wybrano na redaktora - nie wiem. Nie dochodziłem tego uważając za słuszną wyjaśnianie przyszłym czytelnikom roli PKWN-u jako swoistą agentury sowieckiej. Byliśmy bowiem świadomi, że skład komitetu jest taki, jakiego życzył sobie Stalin dla zrealizowania tych celów, które były mu wygodne, przy równoczesnej ~~deklaracji~~ deklamacji o potrzebie istnienia silnej Polski !

O tym, który odwiedził mnie w domu dowiedziałem się, że ma pseudonim "Juh~~as~~". Już dziś nie pamiętam, czy był choć jeszcze raz u mnie. Otrzymałem rozkaz zacząć wykonywać. Od połowy listopada zaczął wychodzić na naszym terenie tygodnik "Podhalanin" odbijany na ręcznym powielaczu. W skład redakcji weszła "Janka", absolwentka samborskiego żeńskiego gimnazjum. Pismo robione było u mnie w domu, nakład jego był niewielki, liczył kilkadziesiąt egzemplarzy. Zdecydowana większość artykułów była mojego autorstwa. Oświeślałem politykę Stalina wobec Polaków, jego obłudę i cynizm. Pytałem też kto upoważnił - poza Stalinem - członków PKWN-u do reprezentowania interesów Polaków. Pismo reprezentowało stanowisko polskie, niezależne od jakichkolwiek sugestii obcych i zdecydowanie odcinające się od rządów komunistycznych. Dzielną pomocnicą w redagowaniu "Podhalanina" była "Janka", na której też, o ile mnie pamięć nie zawodzi, spoczywał obowiązek dostarczenia gotowego numeru do odpowiednich rąk. Każdy numer odbijany był nocą w pokoju, gdy w tym samym czasie za ścianą w kuchni mieszkało dwóch żołnierzy ruskich. "Obstawa" więc była pewna ! Wszystkich numerów wyszło tylko - sześć ! Aresztowania akowców rozpoczęte już w grudniu położyły kres wydawnictwa.

W pierwszych dniach stycznia 1945 r. znalazła się wraz z wieloma innymi, za kratami więzienia "Janka". Ja byłem jeszcze na wolności, ale zacząłem nocować poza własnym domem, zresztą w niedalekostojącym domu ciotki Heli. Zauważyli to wspomniani żołnierze i pewnego dnia jeden z nich - Grisza - syn Kozaka z nad Donu, zgnojonego przez władzę radziecką gdzieś w okolicach Murmańska, jako kulak - powiedział do mojej Heli: "my widzimy, że mąż nie nocuje w domu, jeżeli przyjdą po niego, niech po wyjściu z domu odskoczy od enkawudowców, a my na nich rzucimy granat ! Bo te pozafrontowe swolocze na nic więcej nie zasłużyli !

Ci dwaj żołnierze, traktowani przez nas z całą serdecznością, przyglądaliśmy się ich nędzy, szczególnie jeśli chodzi o wyżywienie, dzieląc się z nimi niemal każdym kawałkiem chleba, dobrze zrozumieli naszą postawę, zachowując się wzorowo, jakoby z wdzięczności za ludzkie traktowanie. Los pozostawił mi jeszcze kilka dni i nocy i wówczas zamiast co prędzej wyjechać z Sambora, możliwie najdalej na zachód, pozostałem i doczekałem się przyjscia po mnie dwóch enkawudystów w nocy z 9 na 10 stycznia 1945 roku.

W domu nie zastali mnie. Rankiem dano mi znać, że po mnie przyszli/ spałem w pobliżu u ciotki Heli./ . Wówczas ubrałem się i dyskretnie wyszedłem do miasta, przez nikogo nie zauważony. Zatrzymałem się u koleżanki Heli - Maryli Jabłońskiej - mówiąc jej co było przyczyną mojej nie zapowiadanej wizyty. Zacząłem zastanawiać się co robić dalej ? Czy jeśli zniknę z Sambora nie zostanie aresztowana Hela, która przecież wiedziała o wielu sprawach ? Sama myśl, że mogą ją oderwać od córeczki

/ urodziła się w czerwcu 1943 r./ paraliżowała całkowicie jakąkolwiek moją decyzję. Gdzieś w okolicy dwunastej godziny przybiegł do mnie, krewniak Heli, mieszkający w sąsiedztwie, Bolek Pukalak, i wystraszonym głosem oznajmił mi, że siedzący w moim domu enkawudyści oświadczyli, że jeśli nie przyjdę do wieczora zabiorą Helę. <sup>1</sup> tego rodzaju perspektywa zaważyła na mojej decyzji. Postanowiłem zgłosić się sam. Dopiero później uzmysłowiłem sobie, jak bardzo mój krok był ryzykowny, a w każdym razie wcale nie gwarantujący wolności Heli. Nie sprawdziły się na szczęście moje przeczucia, Hela pozostała na wolności. Mnie zaś dwóch "aniołów stróżów" zaprowadziło na NKGB/ rosyjskie gestapo/. Był już wieczór. Ruszając z domu ostatni raz rzuciłem okiem na Helę, Jadzię i teściów, ani przypuszczając, jak długo przyjdzie mi ich nie widzieć. Zatrzymano mnie w korytarzu, nie rzucając na noc do piwnicy, w której siedziało już sporo więźniów, w warunkach - jak się później dowiedziałem - jak najgorszych. Minuty mijały powoli, miałem czas do zastanowienia się czy dobrze zrobiłem sam się zgłaszając? Moje gorzkie rozmyślenia zakłóciły w pewnym momencie krzyki bitych ludzi, dochodzące z piętra. Wówczas zwróciłem się do siedzącego lejtnanta, zwalistego chłopca o fizjonomii zawodowego boksera, z pytaniem: "Panie naczelniku, jak to w Związku Radzieckim biją ludzi?" Odpowiedź, jaką otrzymałem, była dla mnie gromem z jasnego nieba. Brzmiała ona: "Nie, u nas ludzi nie boją, bije się "bladzie"! Wszystko stało się dla mnie jasne. Zawarta w odp<sup>4</sup>wiedzi zdumiewająca logika katów tłumaczyła wszystko do końca, cały mechanizm działania enkawudystów. Ten, kto był w ich rękach przestawał być człowiekiem, stawał się "bladzią", którego można, a nawet trzeba bić. Zasady, że w Związku Radzieckim szanowane są prawa człowieka

nie nie uchybiano, bo przecież na ulicy nikogo nie bito.

## II.

Otworzył się w moim życiu nowy, nieznany mi dotąd rozdział, z perspektywami jak najgorszymi. Przecież z całą jasnością zdawałem sobie sprawę w jakich jestem rękach. Były to bowiem te same ręce, które przed niespełna czterema laty obrzucały celo więzienia granatami i bez skrupułów strzelały do bezbronnej więźniów. Nie można było o tym nie myśleć. Całą noc nie zmrurywszy oka przesiadziałem na „dyżurce”. Rano zaprowadzono mnie na górę, gdzie jeden z przechodzących oficerów, patrząc na mnie, z pewną satysfakcją w głosie powiedział: " a jednak chwyciliśmy ciobie ! Odpowiedziałem na to bez namysłu: nikt mnie nie łapał, sam się zgłosiłem ! Przyglądając się przelatującym przez pokoje funkcjonariuszom enkawude , odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z ludźmi ogarniętymi daleko posuniętą manią prześladowczą. Fragmenty ich wypowiedzi wskazywały wyraźnie na daleko posunięte opętanie w demaskowaniu i wykrywaniu wrogów. Niewątpliwie znajdowałem się w rękach szaleńców. Tym gorzej - pomyślałem. Równocześnie postanowiłem nie okazywać wobec oprawców spod znaku czerwonej gwiazdy, najmniej bojaźni. Doszedłem bardzo szybko do przekonania, że okazywanie ~~mi~~ <sup>moją</sup> sytuacją jeszcze pogorszy i bez ratunku zapanują nade mną szaleńcy, pozbawią mnie godności i wewnętrznie ułtęstwią. Przed tym postanowiłem się bronić, równocześnie będąc świadomy, że <sup>przeciw</sup> w wypadku ewentualnego połamania mi kości nie mogą nie skutecznego przedsięwziąć. Na razie jednak ani razu nie podniesiono na mnie ręki. Nie wiedziałem czemu to zawdzięczam. Dowiedziałem się o tym znacznie później. Że był to rzeczywisty powód życie potwierdziło. Wypytywali kwaterujących u nas żołnierzy jakimi byliśmy dla nich. Zgodnie z prawdą żołnierze

nie mieli słów uznania dla naszego postępowania. Czy to mogło być powodem, że nie zostałem ani razu uderzony - nie wiem na pewno.

Drugiego dnia wieczorem odprowadzono mnie pod konwojem do więzienia. Odległość z NIEGB wynosiła około pół kilometra. ~~W~~ prowadzony za brame, jeszcze raz przypominałem sobie rok 1941 i skonfrontowałem z moją obecną sytuacją. W więzieniu dołączono do mnie jeszcze jednego człowieka, zupełnie mi nie znanego i wepchnięto nas do jednej z cel na parterze. Strażnik dosłownie musiał nas wpychać wobec tłoku jaki panował w celi, z której rozległy się głosy -nie ma miejsca ! Wówczas strażnik zawołał: u nas w takiej celi siedzi czterdziestu(!) i zatrzasnął drzwi, zgrzytając kluczem. Co znaczyło odezwanie się strażnika zrozumiałem bardzo szybko. Wepchnięto mnie bowiem, z moim przygodnym towarzyszem do celi, w której za " pańskiej Polski" siedział jeden człowiek ! Jej rozmiary mogły bowiem wynosić: ok. 2,5 m długości i 1,5 m szerokości. Byłem 27 /dwudziestym siódmym / jej mieszkańcem ! Wypadło mi miejsce tuż obok "paraszy", jak nazywano więzienny kibel ! Możliwość snu były żadne ! Siedzieliśmy obok siebie <sup>pod ścianami</sup> ~~na łóżkach~~, ciasno przywarci ~~jeden do~~ jeden do drugiego, mając naprzeciwko takiego samego nieszczęśnika, z nogami którego stykaliśmy się w pozycji siedzącej. W takiej sytuacji noc była wyjątkowo długa, spędzona na drzemce, bo przecież o spaniu nie mogło być mowy. Spał ten, którego odporność psychiczną i fizyczną można było zaliczyć do wyjątkowych. Światło dnia wpadające przez niewielkie, zakratowane okienko, pozwoliło na przyjrzenie się "współmieszkańcom". Przekrój społeczny towarzystwa był nader urozmaicony, chłopci z pobliskich wiosek, zarówno Polacy jak i Ukraińcy, mieszkańcy miast, o różnych zawodach, wsadzeni do więzienia za

niepopelnione winy, bo nikt nie potrafił określić za co został aresztowany. Uwzględniając nawet normalne w ~~krakowie~~ takich przypadkach zachowanie się ludzi uwieczonych, a których poczucie winy nie kojarzyło się z aresztowaniem, miałem przed sobą najwierniejszy obraz stosunków sowieckich. Więzienia musiały być pełno, tym bardziej gdy trwała jeszcze wojna i trzeba się było wykazać wyjątkową czujnością i "pracowitością" organów ścigania. Pozafrontowe swoloczce - jak określili enkawudystów żołnierze mieszkający w moim domu - musieli wykazać się maksymalną aktywnością, perspektywa bowiem przetrzucenia na front nie była znowu tak bardzo niecała, lepiej więc było najgorliwiej wysługiwać się władzom, dokonując masowych aresztowań.

Dokładnie przyjrzałem się moim nowym "kolegom" w celi. Nie trudno było stwierdzić ogólne zastraszenie, dla wszystkich chyba uwieszenie było przysłowiowym gromem z jasnego nieba. Ludzie jeszcze nie zdążyli otrząsnąć się i przebudować całe wnętrza swoje, zbyt niedawno byli na wolności. A pobyt w maksymalnie zageszczonej celi szybko dał o sobie znać. Okazało się niecodzowne bicie, wszy, które nie wiadomo skąd się pojawiły. Opornych lub leniwych, wzdragających się przed sięgnięciem koszuli i kaleson trzeba było, korzystając z większości zawieszonych, zmuszać do porannej operacji. W tej zawieszanej celi przebyłem dwa tygodnie. Po upływie tych okropnych dwóch tygodni zabrano nas wszystkich do łaźni i po kąpieli i wyparzeniu ubrań porozdzielano po innych celach. Dostałem się do dość dużej celi, na drugim piętrze, z widokiem / gdy się nielegalnie patrzyło przez okno /, na, jakże dobrze mi znaną ulicę Drohobycką, po której niezliczone razy chodziłem,

ani przypuszczając, że przyjdzie mi na nią patrzeć z okien więziennych !

Oddzielony od moich najbliższych, mogłem sobie tylko wyobrażać, co oni wszyscy przeżywają. Jedynym dowodem ich troski stało się dostarczanie mi jedzenia. Pamiętam, otrzymywałem bardzo pożywną zupę fasolową gotowaną na mięsie, z tym, że ani odrobiny mięsa w zupie nie było ! Wszystko zżerali moi opiekunowie, po raz pierwszy zapewne w życiu mając okazję najeść się do syta mięsa. Naczynia, w których otrzymywałem jedzenie służyły za dobre miejsce do krótkiej korespondencji z żoną. Parę słów zawsze wydrapałem na dnie blaszanego naczynia, używając do tego łyżki metalowej, której mi nie odebrano. Podobnie otrzymywałem odpowiedź od Heli, skąd dowiedziałem się jak były przyrządzane bardzo smaczne zupy, będące dodatkowym daniem naszych dozorców. Kilkakrotnie byłem doprowadzany z więzienia do gmachu NKWD na tzw. przesłuchania. Moje szczeniństwo nie miało granic, gdy wprowadzony do izby zauważyłem przed sobą osobę śledczego, tego samego lejtnanta, którego spotkałem w pierwszy wieczór po aresztowaniu. Usiadłem naprzeciw niego i spokojnie zacząłem mu się przyglądać. Obok rozłożonych papierów stała butelka wódki i leżała gruba pałka drewniana. W napięciu oczekiwałem co będzie dalej. Już dziś nie pamiętam jakiej treści były stawiane mi pytania i jakie były moje odpowiedzi. W pewnym momencie lejtnant porwał pałkę, trzasnął nią w drewniany stół, rycząc przy tym, ile sił w głosie: job twoju mat' ! Ale pałka na mnie nie spadła ani razu ! Po takim wysiłku pokrępiwszy się z butelki mój śledczy znowu coś pytał, a po mojej odpowiedzi reakcja była jak wyżej. Ca-

łość takiego przesłuchania trwała około dwóch godzin. Widocznie odpowiedzi moje nie zadowolili mojego śledczego, bo zabronił mi podania posiłku, który żona przyniosła pod gmach NKGB. Skąd wiedziała, że tu jestem? Działała sprawnie zorganizowana swoista poczta, która błyskawicznie powiadomiła moją Helę, że przyprawiono mnie z więzienia na przesłuchanie.

Dość późnym wieczorem jedzenie otrzymałem. Jak się to stało dowiedziałem się szczegółów znacznie później, z relacji żony, po moim szczęśliwym powrocie. Pewien major NKGB zauważył, że Hela cały dzień cierpliwie krążyła w pobliżu miejsca przesłuchań. Na próbę oddania przyniesionego posiłku, odpowiedziano jej, że śledczy zabronił! Nie rezygnując Hela wciąż chodziła w pobliżu gmachu. Podszedł do niej wreszcie wspomniany oficer /major/ i zapytał dlaczego tu chodzi. Wówczas po uzyskaniu odpowiedzi, wrócił na dyżurkę NKGB i za chwilę spożywałem posiłek, na który w tym dniu dość długo czekałem.

Po powrocie do celi zastanawiałem się nad zachowaniem się mojego śledczego. Doszedłem chyba do trafnego wniosku, że uderzenie pałką w stół, przy potężnym krzyku, było swoistą komedią wobec pozostałych śledczych, miało na celu wykazanie jak groźnym jest egzekutorem swoich uprawnień. Nie powiem abym nie był zadowolony z takiego przebiegu przesłuchań. Na jedno z przesłuchań przyprawiono celem konfrontacji "Janke". Nie wyparłem się znajomości z nią, stwierdziwszy z poprzednich przesłuchań, że NKGB jest dokładnie zorientowane co do całej naszej organizacji i nawet w tej sytuacji doradziłem "Janke" by pewnym sprawom nie zaprzeczała / ~~na~~ na całe szczęście o naszym redagowaniu "Podhalanina" nie wiedzieli nic !/, w imię oszczędzania sił, a krócej mówiąc, miałem nadzieję, że tą radą



uchronię ją od bicia. Co do wyboru spraw, którym mogła nie zaprzeczać, wierzyłem, że "Janka" będzie wiedziała co wybrać, by siebie nie obciążać.

Pewnego razu, gdy oczekiwałem na przesłuchanie zetknąłem się z jakimś majorem, który przechodząc koło mnie z ogromnym pakietem akt, wskazując na owe akta powiedział do mnie: "smatri, skolko bladiej u was ". Odpowiedziałem mu na to, aby rzucił te papiery do pieca, uśmiechnął się, nawet ludzkim uśmiechem i z przekonaniem, że taki pomysł jest mu obcy przygarnął plik / wcale nie mały / do swego boku. Gdy odchodził, zadałem mu nurtujące pytanie: ~~pytanie~~ mnie już od dość dawna pytanie: mówicie, że ziemie, na których w tej chwili jesteśmy, są ziemiemi rosyjskimi? Przytaknął, że tak istotnie jest. Jestem historykiem - cignąłem dalej - i nigdzie nie znalazłem potwierdzenia, aby te właśnie ziemie należały kiedykolwiek do Rosji. Spojrzał na mnie dość ostro i nie odpowiadając mi przeszedł do następnego pokoju. Gdy znalazłem się w celi rozważałem sens mojego pytania i mojego stanowiska, ślubując sobie więcej nie podejmować nawet prób tego rodzaju dyskusji. Wciąż byłem niepoprawny i wciąż nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji, w której się znalazłem. Zachciało mi się dyskusji z człowiekiem, dla którego pojęcie swobodnej wymiany zdań było czymś obcym i nieznanym. Mogę uważać się za szczęściarza, że nie otrzymałem odpowiedzi bardzo dosadnej. Wolałem na przyszłość nie prowokować losu.

W samborskim więzieniu pozostawaliśmy prawie do ostatnich dni lutego. W jednym z ostatnich dni tego miesiąca wyprowadzono nas z celi i ustawiono na dziedzińcu więziennym olbrzymią kolumnę. W oczekiwaniu na otwarcie bramy i rozkaz marszu

staliśmy w milczeniu próbując odgadnąć naszą najbliższą przyszłość. W pewnej chwili podeszło do mnie dwóch enkawudystów i patrząc na mnie, mówili między sobą: " smatri, eto redaktor"! Milczałem, domyślając się, że jednak coś wiedzieli, o naszym tygodniku, ale jak wynikało z przesłuchań nie wiedzieli wiele. Oczywiście na prowokację nie zareagowałem.

Dano rozkaz i wyszliśmy na ulicę. Szybko zorientowałem się, że prowadzą nas w stronę dworca kolejowego. Kolumna więźniów otoczona gęstym szpalerem konwojentów / co 2 m jeden uzbrojony strażnik/ w milczeniu maszerowała w stronę stacji kolejowej. W pewnym momencie zrobiło się niezrozumiałe dla nas poruszenie. Sprawa szybko się wyjaśniła. Przechodzący ulicą - nie wiem, czy był to żołnierz, czy enkawudowiec - jakimś kijem lub żelazem, okładał przechodzących koło niego więźniów. Wszystko we mnie zadygotało. Wprawdzie dość szybko krewkiego stróża praw usunięto, nie mniej to czego byłem świadkiem ponownie potwierdziło szatańską logikę: "bladie można bić". Miało się ku wieczorowi. Przed pociągiem złożonym z towarowych wagonów, w odpowiedniej odległości stali zaniepokojeni ci wszyscy, których mężów, synów, ojców ładowano do wagonów. Nie wolno było zbliżyć się nikomu, by podać choćby skromny pakiecik. Byłem pewny, że wśród ludzi nadaremnie szukających okazji do zbliżenia się do swych bliskich była moja Hela. Szukałem jej rozglądając się, ale niestety nie dojrzałem jej.

W ciemny wieczór pociąg ruszył. Dokąd jechał nikt nie wiedział. Jazda jednak nie trwała długo, może najwyżej dwie godziny. Zazgrzytały hamulce, od zewnątrz rozsunięto drzwi wagonów i kazano wysiadać. Byliśmy w Drohobyczu, 33km od

Sambora. Wiedzieliśmy wszyscy, że w mieście tym były "Brygitki" szeroko znane, można powiedzieć sławno więzienie, znacznie większe niż samborskie. Zostałem jednak umieszczony wraz z wieloma innymi nie w "Brygitykach" a w mniejszym więzieniu, przy gmachu, w którym miało swoją siedzibę NKWD. Rozpoczęło się nowe życie, wśród nieznanym sobie ludzi, w celi o powierzchni około 20-30 m<sup>2</sup>. Na szczęście znalazło się w niej kilku z naszej grupy, więc możliwość porozmawiania nieco ułatwiała wcale nie łatwe znoszenie zamknięcia. W celi w jednym kącie stał dużych rozmiarów "kibel" zwany "paraszą", pod jedną ze ścian stały dwa żelazne łóżka bez jakiegokolwiek siennika lub koca, jedynie z deskami, jeszcze jeden taki "tapczan" stał przy drugiej ścianie. W celi było około dwudziestu ludzi, w większości Ukraińców, przeważnie chłopcy. Za co posadzeni, nikt z nich nie wiedział. Zbliżyłem się do pewnego Ukraińca o nazwisku Biłas. Mocny brunet - o dziwo - z długą, czarną brodą. Jak się okazało był jednym z działaczy ukraińskich, którego aresztowano za działalność nacjonalistyczną. Przed aresztowaniem chciał popełnić samobójstwo strzelając do siebie w okolice serca. Nie zabił się, ale z dawnej rany wciąż wyciekała ropa i wciąż z tego powodu musiał trzymać bandaż. Rozmawiałem z nim wiele i długo. Pewnego razu zapytałem go czy jest w pełni zorientowany gdzieś się spotkali i dlaczego? Nie bardzo wiedział o co mi chodzi. Wyjaśniałem mu krótko i dosadnie. Jesteśmy - mówiłem - swoisty<sup>m</sup> ofiarami podżegaczy, zarówno niemieckich jak i rosyjskich, którzy robią wszystko aby nas/ tj. Ukraińców i Polaków/ poróżnić, abyśmy sobie skakali do oczu i w rezultacie zamykają jednych i drugich. A cel tego jest nader oczywisty - wyniszczyć Ukraińców i Polaków. Biłas przyznał mi rację, ale nie omieszkał zapytać, jak wybrnąć

z istniejącego sporu polsko-ukraińskiego o Małopolskę Wschodnią? Odpowiedziałem szczerze, zgodnie z moimi przekonaniami, że terytorium to oddałbym państwu ukraińskiemu gdyby takie powstało, czego Ukraińcom szczerze życzę. Jedyne - dodałem - w sprawie przy należności Lwowa trzba by uzgodnić stanowisko, bo przecież nikt, znający dzieje tego miasta nie zaprzeczy, że jest to miasto polskie. Biłas był zaskoczony moim stanowiskiem, określając je jako wyjątkowe wśród Polaków. Na tego rodzaju rozmowach i bezustannym oczekiwaniu na zmianę położenia - ta nadzieja wciąż nam towarzyszyła - spędzaliśmy straszliwie wydłużający się czas. Dni i tygodnie mijały jednak bez jakichkolwiek zmian. Co działo się na świecie, mimo, że nie dopuszczano do nas żadnych gazet, ani książek, byliśmy zorientowani dokładnie, dzięki "korespondencji", jaka trwała między nami i naszymi najbliższymi dostarczającymi nam dość często, plecaków i pełnych worów żywności. Ja osobiście otrzymywałem pełny plecak, w którym obok ~~nieodrodnym~~ nieodrodnym produktom do racjonalnego odżywiania się zawsze pod sprzączką pasa znajdowałem dokładnie złożoną kartkę donoszącą o wszystkim co mogło mnie interesować. W ten sam sposób odpowiadałem, kreśląc tzw. chemicznym ołówkiem na białych szmatkach o tym wszystkim jak żyje się w więzieniu. Dla udoskonalenia korespondencji umówiliśmy się z Helą, że jeszcze lepiej będzie umieszczać złożoną w rulonik kartkę do wydrążonej cebuli przykrytej plasterkiem odciętego korzenia i umocowanego szpilką. W ten sposób otrzymywałem dość długie listy informujące mnie o sytuacji na świecie, w Polsce i w domu. Z tych listów wyzierała nie dająca się ukryć niedola moich najbliższych cierpiących chyba dotkliwiej niż ci wszyscy, którzy dzień po dniu widzieć mogli skrawek nieba i słyszeć zgrzyt klucza odgradzającego od świata. Był to więzienie szczególnego

rodzaju- wielokrotnie o tym mówiłem moim współsąsiadom. Gdy polskich komunistów więziono w polskich więzieniach, zgodnie z ówczesnym prawem, wobec więźniów politycznych, dostarczano im żądane książki, przybory do pisania itp. Dzięki temu nie jeden z komunistów uzupełnił swoje wykształcenie, nie będąc skazanym w całości na beznadziejne wyczekiwanie, w kompletnym odizolowaniu od książki i gazet. Zawsze mówiłem i powtarzam to po dziś dzień- trzeba było wobec komunistów zastosować rygory " państwa socjalistycznego ", może niejeden wyleczyłby się ze swych sympatii, do pierwszego państwa robotników i chłopów. Czym dla mnie osobście był brak kontaktu z książką, napróżno siliłbym się opisać. Szukałem zastępczych środków, byle tylko czymś <sup>u</sup>żytecznym wypełnić czas. Ulepiliśmy z chleba garnitur szachowy, a szachownicę nakreśliliśmy na niewielkim kawałku papieru, kwadraty, które normalnie są czarne zakreskowaliśmy skrzętnie ukrywanym ołówkiem. Zachęćeni powodzeniem, bardzo szybko ulepiliśmy drugi komplet figur. Znaleźli się chętni do gry. Pamiętam jak doprowadziłem do niemałego zdumienia moich partnerów, gdy rozegrałem z dwoma naraz partię na pamięć/ nie patrząc na szachownicę/. Patrzyli na mnie jak na czarodzieja, nie rozumiejąc, że można było tego dokonać będąc nieźle obeznanym z teorią i praktyką szachową. Zajmowałem się szachami już od kilku lat i gra na pamięć była mi bliska. Niestety, nasza przyjemność skończyła się bardzo prędko. Wypatrzono w całości szachy i niezwłocznie zebrano. "Bladiom" nie należy się nic ! Do celi przybywać zaczęli nowi lokatorzy. Byli to księża grecko-katoliccy, Ukraińcy. Przeważnie ludzie w podzgeszłym wieku. Przyglądałem się im bacznie i niczego budującego z tych obserwacji nie wyniosłem. Daleko im było do apostołów ewangelicznych, a głębokie przywiązanie do dóbr ziemskich- do dostarczanych im obficie wyp-

chanych worów z jedzeniem, które konsumowali nie widząc w tych w celi, którzy nie otrzymywali nic i skazani byli wyłącznie na wikt więzienny - było uderzające. Pewnego razu widząc jak jeden z tych księży siedzi prawie bez przerwy na "kiblu" nie wytrzymałem i wygarnąłem im brak poczucia więzi ze swoimi parafianami, których wielu siedziało w tej samej celi i uderzający egoizmem. Przyznam się, że i dziś nie postąpiłbym inaczej. Nie mogłem patrzeć spokojnie na jaskrawy egoizm i to właśnie u tych, którzy w swym "urzędowaniu" w cerkwiach wygłaszali kazania kłócące się z rzeczywistością. Tacy pozostali w więzieniu.

Pewnego dnia rano wpadło do celi kilku strażników, wyrzucając wszystkich na korytarz i skierowując do innej celi. W naszej celi pozostałem tylko ja w obliczu rozżartych /powodu nie znałem/ strażników. Pozostałem w celi jako starszy "kamery". Jak parę dni wcześniej, przyglądając się wszystkim po kolei, nazwał mnie jeden ze strażników. "Ty budziesz starszym kamery" - wskazał na mnie. Gdy zaprotestowałem, że nie chcę czymś takim być, huknął tylko głośniejsze: "budiesz" i wyszedł. Konsekwencji nie miało to żadnych poza "przywilejem" rozdawania jedzenia pozostałym towarzyszom niedoli. Pozostałem więc w celi i zacząłem przyglądać się czynnościom strażników. Czegoś szukali, nie wiedziałem czego. W pewnym momencie jeden z nich podszedł do mnie i zapytał: "gdzie karandasz?" /gdzie jest ołówek?/. Odpowiedziałem spokojnie, że w naszej celi ołówka nie ma. "Najdziom" - odpowiedział mi, wspinając się w tym momencie na łóżko, stojąc pod oknem. Swe oczy skierował na okno. W tym momencie pomyślałem: jakaś kanalia doniosła gdzie ukryty był ołówek. Bo faktycznie ukryty był w niezapełnionym cementem

spoinę między cegłami. Ale strażnik stojąc na łóżku przyglądał się oknu i zszedł, niczego nie znalazłszy. Cicho odetchnąłem. Za chwilę weszli więźniowie. Do jednego z ukraińskich księży zwrócił się strażnik z pytaniem: "skaży gdzie karandasz ?"/powiedz, gdzie jest ołówek ?/. Księżuło najspokojniej jak danym mi to było usłyszeć odpowiedział: " ja nie znaju, kołyb ja znaw, to ja by skazał ".

Po wyjściu strażników i uspokojeniu się pewnego wzburzenia, zwróciłem się do tego pytanego poprzednio księdza: czy ksiądz , gdyby rzeczywiście wiedział gdzie jest ołówek/ na szczęście rzeczywiście nie wiedział/ to powiedziałby strażnikowi ? Odpowiedzi nie usłyszałem.

Otrzymywane listy, które skrzętnie, po raz niewiadomo który czytałem przed snem, zamiast po przeczytaniu podrzeć i rzucić do parąszy wsadziłem /najświeższy/ do kieszeni płaszcza i usunąłem. Muszę przyznać, że mimo trudnej sytuacji w jakiej byłem spałem znakomicie. Nic dziwnego , byłem zdrowy i silny i ten kilkumiesięczny pobyt w więzieniu nie mógł mnie jeszcze złamać. Nachodziły mnie nieraz ciężkie chwile, w których z całą jasnością zdawałem sobie sprawę z zaistniałego położenia. Przecież byłem dotąd człowiekiem wolnym, kochającym wolność, a teraz ograniczono moją możliwość poruszania się do kilkunastu a może dwudziestukilku metrów kwadratowych i to za zamknięciem. Od czasu do czasu wyprowadzano nas na przechadzkę / dwa, a najwyżej trzy razy w tygodniu/ naj 15-20 minut. Ale i tam mimo, że otaczały plac przechadzek wysokie mury, czuwały nad nami czujne oczy strażnika. Jak czujne, najlepiej ilustruje zachowanie się stróża władzy radzieckiej. Rozprostowując się na świeżym powietrzu podniosłem głowę, obserwując przelatujące

wysoko białe chmury. I w tym momencie rozległ się rozkaz: " czewo smotrysz, gołowa w uiz" / czego patrzysz, głowa w dól/. Okazało się, że nawet oglądanie chmur może być niebezpieczne dla radzieckiej władzy! Wracając do celi, gdy zatrzasnęły się za nami ciężkie drzwi, mogliśmy stwierdzić w jak zawiesistym powietrzu musieliśmy spędzać większość godzin, zawsze długiej doby. Powietrze miało odór skwaśniałej kapusty.

Najgorsze były wieczory, przed rozkazem "otboj", czyli ułożeniem się do snu. W przepelnionych celach było głośno, gwar dochodził z poszczególnych cel, uciszanych co pewien czas gromkim głosem strażnika: "tiszyna, job waszu mat'" popartym łomotaniem klucza w drzwi. Rezultat był krótkotrwały, głosy narastały, ponownie<sup>n'</sup> krzyczał strażnik i tak niemal bez przerwy. By nie być narażonym na tego rodzaju uciszanie zaproponowałem moim współmieszkańcom, że będę im opowiadał, jeśli chcą niech słuchają. Zaczęły się przedziwne wieczory w celi. Opowiadałem treść wielu przeczytanych książek, mniej lub więcej dokładnie, byle tylko zappełnić wnikający się czas. To było moje pierwsze audytorium, będę go zawsze mile / mimo wszystko/ wspominał. Słuchając moich prostych relacji - uwzględniając skład społeczny moich słuchaczy musiałem mój język ~~uzyx~~ uczynić jak najbardziej przystępny i w miarę możliwości obrazowy. Czegoż to ja nie streściłem! "Trylogię", "Krzyżaków", " W pustyni i w puszczy", Żeromskiego, "Wierną rzekę", "Dzieje grzechu" i inne, które mi w pamięć podsuwała. Tak nam upływały długie, szczególnie zimowe wieczory. Cisza w celi/ jedna, jedyna w całym więzieniu/ była tak niezwykła, że strażnicy zaglądali od czasu do czasu, nie chcąc wierzyć, że tak może być, jak było. A może podejrzewa-



li, że wszyscy wyfrunęli przez zakratowane okno? Zapas do opowiadania, choć był wcale nie mały / po niektórych książkach przyszła kolej na zapamiętane, wyjątkowo dobre filmy/ w końcu się wyczerpał. Za murami była już wiosna, której podmuchy zaczęliśmy odczuwać. Z tych zaś tygodni, które były za nami, przerywane tylko od czasu do czasu wezwaniem na przesłuchanie, pewne zdarzenie utkwiło mi w pamięci. Gdzieś chyba w marcu, gdy ledwie ustaliliśmy ze smu, otworzyły się drzwi i do celi wpadło kilku strażników rycząc: "wychadi". Chciałem zabrać ze sobą swój płaszcz / w kieszoni był schowany najświeższy list/, ale mi nie pozwolili. Z celi wypędzili wszystkich. Siedząc w swojej przydzielonej nam czasowo celi, zwróciłem się do Bilasa mówiąc mu, że w ~~in~~ kieszoni płaszcza został list od żony, co powiedziec jak zapytają. Bilas dał doskonałą radę. Jak zapytają powiesz, że idąc na przechadzkę, podniosłeś papier, leżący na podłodze, przecież papieru toaletowego nam nie dawano. Ledwie to uzgodniliśmy wszedł strażnik trzymając mój płaszcz. "Czyje to" - zapytał po rosyjsku. Moje odrzekłem bez namysłu. Zebrali mnie ze sobą do "naszej" celi i tu zaczęli pytać co to za pismo, do kogo je pisałem. Odpowiedziałem tak jak zostało ustalone z Bilasem. Byli wyraźnie zaskoczeni. Jeszcze tego samego dnia zawołano mnie do kancelarii i kazano napisać cokolwiek, na podanym papierze. Nie pamiętam już co napisałem, zresztą to było nieważne, chodziło przecież o porównanie pisma. Porównali więc dwie napisane kartki i wbrew oczywistości orzekli, że pismo podobne. Uśmiechnąłem się na taki werdykt, bo różnice były rzucające się w oczy i wróciłem do celi pożegnany groźnym: "jeszcze pogawarim". Więcej już na szczęście w tej sprawie nie byłem indagowany, tak zresztą jak przewidywał współautor wybiegu, sympatyczny Bilas.

Wspominałem o wezwaniach na przesłuchania. Były one bardzo rzadkie. Po otwarciu drzwi strażnik pytał: "na bukwę K". Wszyscy na "K" zgłaszali się po kolei. Strażnik patrzył w papiery i na moje odezwanie się: Władysław Natwiejewicz, rzekł: "paszli". Wychodząc na korytarz obowiązkowo należało założyć ręce w tył. Strażnik szedł z tyłu. Wszyscy spotkali po drodze więźniowie obowiązani byli zatrzymać się i odwrócić do ściany. Moje przesłuchanie odbywały się na drugim piętrze, a śledczym był jakiś kapitan. Trzeba przyznać, że miałem szczęście do śledczych. Wspomniany kapitan kilkakrotnie mi powiedział, że z Polakami zetknął się po raz pierwszy w życiu, sam był z dalekiej Syberii, a to wszystko o co pyta to w oparciu o donosy "waszych ludzi", jak sam określił. Na nikogo z przesłuchiwanym nie podniósł ręki, ani głosu. Siedział przed rozłożonym papierem, coś czasem zapytał, zapisał, a potem siedział długo milcząco, a nawet jak parę razy zauważyłem, drzemał. Takie "przesłuchanie" trwało nieraz dwie a nawet i trzy godziny. Dla wielu więźniów najbardziej denerwujące były przesłuchania nocne. Wyrwane człowieka ze snu, niejedon ze zdenerwowania z trudem trafiał nogą do buta i zbyt długo naciągał na grzbiet marynarkę i prowadzono go po oświetlonych korytarzach do gabinetu śledczego. W wielu wypadkach zdenerwowanie miało swoje uzasadnienie. Nie wszyscy śledczy byli tacy jak wspomniany wyżej kapitan. Na celę wracali ludzie dotkliwie pobici i maltretowani. Do celi, w której siedziałem wrzucono raz pewnego Ukraińca, nie tylko ogólnie pobitego, ale w specyficzny sposób napiętnowanego, krwią przetrądokola głowy. Wkładano mu żelazny obręcz na głowę. Inni skarżyli się na bestialstwo swoich śledczych, bijących ~~tworząc~~ twarde pałką po goleniach, lub po otwarciu szuflady nakazujących wkładanie genitalii, by zamknąć ją gwałtownie po wykonaniu rozkazu.

Nimo takich sytuacji / podkreślam- osobiście ich nie doznałem/ a może właśnie dlatego, niecwiśc nasza do strażników i wszystkich innych reprezentantów tzw. władzy robotniczo-chłopskiej była przeogromną i chyba w pełni uzasadnioną. Jakaż więc mieliśmy satysfakcję, gdy władza ta od czasu do czasu została ośmieszona przez postępowanie strażników. Choć przez okienko w drzwiach /zwane judaszem/ nie wolno było patrzeć, często wbrew zakazowi zaglądałem na niewielki pas korytarza. Pewnego dnia, gdy niedaleko drzwi naszej celi postawiono kocioł z zupą obiadową / porzak z ~~kawałkami~~ kartoflami skropiony oliwą/ ujrzałem jak jeden ze strażników, nazywany przez nas "elegancikiem" / miał obłesny sposób zwracania się do nas, pozujący na łagodność/ warzącą zbierał pływający na wierzchu zupy tłuszcz do własnej mokałki. Ujrzeni ten "manewr" reprezentanta zwycięskiej władzy radzieckiej inni koledzy z celi, którzy po kolei podchodzili do okienka.

Nie ustrześliśmy się brutalnych, od czasu do czasu odezwań innego strażnika, którego nazywaliśmy " wilkiem". Miał rzeczywiście w swojej twarzy coś wilezego i dzikiego. Pewnego razu tenże strażnik otworzył celę i wścickim głosem patrząc na nas wypowiedział swoje wierнопoddane credo ~~tki~~ tkwiące w jego ograniczonej głowie, uładowanej komunistyczną propagandą: ja bym was wszystkich wystrzelał ! Siedząc na przyczy nie wytrzymałem i powiedziałem głośno, że są jeszcze inne władze, które o nas zdecydują ! Spojrzał na mnie wilkiem i z łaskotem zamknął za sobą drzwi.

Wiosna była już w pełni. Przez skrawek zakratowanego okna widać było przelatujące po rozświetlonym błękitnie niewielkie

białe obłoki. Świadomość zamknięcia jeszcze bardziej się potęgowała i stawała się bolesną męką, jakże trudną do przezwyciężenia. Dzień do dnia był bliźniaczo podobny i wciąż wracało pytanie - co dalej? Jeszcze w lutym, na wiadomość, że zebrała się konferencja grubej trójki w Jaltie; Roosevelta, Churchilla i Stalina, podniosły się wśród nas nastroje. Niemal byliśmy pewni, że rozstrzygną się tam także i nasze losy. Jakże byliśmy naiwni. Owszem, na tej konferencji rozstrzygnęły się losy polskiego narodu, Iolką ręką prezydenta Stanów Zjednoczonych i premiera Wielkiej Brytanii, oddanego pod "opiekę" Stalina. Do dnia dzisiejszego nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia jak to "wielki" prezydent - nawiasem mówiąc nie orientując się zupełnie w sytuacji europejskiej, a już najmniej Polski - uwierzył Stalinowi, że ten rzeczywiście pragnie silnej Polski, w której zostaną przeprowadzone demokratyczne wybory. Zostały przeprowadzone, tylko bardzo daleko im było do demokracji. A nasz los, iluś tysięcy / kto by to zliczył / AK-owców nie uległ żadnej zmianie. Poza małymi sejsjami ze strażnikami, od czasu do czasu wyprowadzaniem nas na spacer więzienny i dość rzadkie wzywanie przed oblicze śledczego - nic się nie zmieniło. Pozostawały więc wciąż te same dręczące myśli, pełne niewyrażalnego bólu i ogarniającej od czasu do czasu ~~na~~ beznadziejności. Jakże ciężko było z tym walczyć, trudno to nawet wyrazić.

Pewnego dnia zazgrzytał zamek i otworzyły się drzwi naszej celi. Stał w nich, nieznamy nam, młody strażnik. Spojrzał na nas i zwrócił uwagę na mnie, gdy z uśmiechem mówiłem coś cicho do mojego najbliższego sąsiada. "Ty czewo smiejoszsia?" - zapytał mnie. "A co - nam płakać" - odpowiedziałem wręcz niegrzecznie - pewnie byście chcieli abyśmy płakali" - dodałem. Na to strażnik: "chodź siuda" - wzywał mnie, stając na progu celi.

" Nie pójdę"- odpowiedziałem. " Nie pójdziesz ?" -ponownie zapytał. " Nie " - odpowiedziałem z całą stanowczością." No, jeszczeta uwidysz', job twoju mat'- krzyknął i zamknął celę. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym wyszedł na korytarz, wówczas zostałbym "załatwiony", gruntuownie i nie mógłbym protestować, bo by mi zarzucono fałsz i jeszcze dodatkowo ukarano. A swoją drogą, zastanawiałem się później, że w takiej samej sytuacji w więzieniu niemieckim, słowa, które wypowiedziałem byłyby ostatnimisw moim życiu. Czy chcę przez to usprawiedliwić i złagodzić postępowanie reprezentantów bolszewickiej władzy? Ani mi się śni, zbyt dobrze wiedziałem do czego ta władza i jej wykonawcy ~~siek~~ są zdolni. Rok 1941 nie był aż tak odległy, aby o tym nie pamiętać.

Na wciąż jednakowo ciężkich rozmyślaniach, nieubłaganie mijaly, jakże podobne do siebie dni i tygodnie. Zaskakującym wręcz wydarzeniem ~~stała~~ stała się noc z 8 na 9<sup>o</sup> maja 1945 r. Gdy już cisza ogarnęła więzienie i sen-brat śmierci, objął nas w swe posiadanie, rozległa się ostra i gwałtowna strzelanina, w obrębie gmachu. Momentalnie byliśmy wszyscy na nogach nasłuchując z przyspieszonym biciem serca, wciąż trwającej strzelaniny. Ukraińcy zaczęli wykrzykiwać, że to chyba napad na więzienie, że trzeba wywalać drzwi i pędzić na pomoc atakującym. Głosy stawały się coraz bardziej podniecone. Próbowałem ich uspokajać, choć sam również nie rozumiałem powodów strzelaniny. Ostrzegałem przed próbą wyłamania drzwi. Moje rozumowanie było chyba słuszne. Napad na więzienie, w mieście, w którym gęsto było od żołnierzy, nie licząc enkawudystów, wydawał mi się wykluczony. Na szczęście usłuchano mnie i mimo, że strzelanina ucichła, a docho- dziły tylko odległe głosy ludzkie, w napięciu oczekiwałem na poranok.

Wraz z więzienną pobudką wstąpił do naszej celi jeden ze strażników i powiódł nam, oczekującym na jakikolwiek słowa: "Koleżyste się wojna"!

Całą eskawadryści strzelaninę zapewno obficie zatropioną wódką, świętowali zakończenie wojny. Znowu odżyły, przygnęcone więzienną rzeczywistością, nadzieje na rychłe zmiany. I znowu nic się nie zmieniło. Byliśmy synami narodu, o którego los nie się nie troszczyli. Jak niegdyś sprawa Polaków była wewnątrz-  
ną sprawą Rosji!

Jedyną zmianą, która nastąpiła, stało się przeniesienie mnie wraz z wieloma innymi więźniami do wspomnianych wyżej "Brygidok". W gmachu rzeczy nie się nie zmieniło, do pierwszych dni sierpnia w okolicy pierwszej dekady tego miesiąca, naszą sauberską grupę A-owską liczącą 10 osób wprowadzono do jednej z cel. Za stołem siedziało trzech mężczyzn. Po środku starszy siwy oficer, a po jego lewej stronie i prawej - dwóch niedźmie zbranych cywilów, z wyglądu kolechożnianych parobków. Jak się za chwile mieliśmy przekonać - był to sąd, który miał osadzić nasze zbrodnie. Ów oficer zaczął nam odczytywać paragrafy, ~~xxx~~ zgodnie z którymi będziemy sądzeni. Były to paragrafy: 51, 1<sup>a</sup> i 11. Oznaczały one zdradę ojczyzny i przynależność do konspiracyjnej organizacji. Poprosiłem o głos w sprawie znaczenia tego paragrafu i jego podpunktów. Zdrada ojczyzny - oczywiście Sowieckiego Sojuzu, wywołała z mej strony replikę, że nie jestem obywatelem sowieckim, bo obywatelstwa polskiego nigdy nie zalienałem, co do przynależności zaś do konspiracyjnej organizacji wypowiedziałem, że nasza organizacja miała na celu walkę z Niemcami, więc nie rozumiem, co ma w tej materii do rozpatrywania sąd radziecki.

W podobny sposób wypowiedzieli się moi koledzy. Było to

rzucaniem grochu o ścianę. Odczytano nam wyroki. Nasz b.komendant Zygmunt Barszcz otrzymał 10 lat, Józef Babiak, Stanisław Kucharski i ja po 8 lat, pozostali: ks. Drabik 6 lat, Zofia Chmielewska 6 lat, Janka Wysoczańska 7 lat, a pozostała trójka, / niestety, nazwisk już nie pamiętam / chyba też po 6 lub 7 lat.

Z wyrokami staliśmy się pełnoprawnymi obywatelami Sowieckiego Sojuzu. Byliśmy jedną z trzech grup obywateli tego kraju - siedzieliśmy, dwie pozostałe grupy to ci, którzy już swoje odsiedzieli ci, którzy lada dzień będą siedzieć.

Już w tym samym miesiącu wyprowadzono nas z więzienia i wsadzono do wagonów - więźniarek. Normalny z wyglądu wagon osobowy, z tym, że wewnątrz miał zamiast przedziałów, zamykane na klucz cele. W jednej z takich cel dostałem miejsce pod samym dachem wagonu, na drugim piętrze celi. Dzień był wyjątkowo upalny. Rozebrałem się do naga i po pewnym czasie stwierdziłem znajomy mi już z więzienia, obrzydliwy smród pluskiew. Na moim piętrze był mrok. Czułem zwiększające się swędzenie na całym ciele. Pociągając rękami po skórze zgarniałem pluskwy, które oblażyły me ciało. Zwiększający się fetor potwierdzał słuszność mojej rozpoczętej walki z mrowiem pluskiew. Nie muszę nawet dodawać, że była to walka, która nie mogła dać żadnego rezultatu, chcąc zwalczyć nieprawdopodobnie zapluskwione wagony należałoby po prostu co prędzej spalić.

W drodze w nie<sup>znane</sup> ~~znane~~, przejeżdżałem przez stację mojego Sambora, o czym donieśli mi moi współtowarzysze celi wagonowej. Było to dla mnie dodatkowe udręczenie. Niespełna pół kilometra od chwilowego postoju pociągu stał mój dom, a w nim żona z córeczką i teściowie, a w drugim końcu miasta moi rodzice. Ani jedni ~~ani~~ ani drudzy nawet nie mogli domyślać się, że jestem

tak blisko nich, a równocześnie tak bardzo daleko.

Na szczęście podróż była niedługa. Wylądowaliśmy we Lwowie i niezwłocznie zapędzili nas do niewolniczej pracy. Karczowaliśmy przepiękne deby rosnące na dość odległych peryferiach Lwowa. Mimo, iż nie miałem możliwości zawiadomienia swoich najbliższych o zmianie miejsca mojego pobytu, w niedługim czasie pod druty podlwowskiego obozu dotarła moja żona dostarczając mi, jakże potrzebne, posilne pożywienie.

Z tego okresu na trwałe utkwiała mi w pamięci scena, która wycisnęła łzy wielu patrzących, towarzyszy mojej niedoli. Pewnego dnia żona moja przyjechała z teściem pragnąc przekazać mi przywiezioną paczkę żywnościową. Zanim [oczekala się swej kolejki, przeprowadziła moją córeczkę na dozwoloną od drutów odległość i kazała jej iść do tatusia. Malcństwo / miała wtedy rok i dwa miesiące/ ubrana na czerwono drepeząc malutkimi nożkami, przeszła przez nikogo nie zatrzymywana przez bramę i podeszła do mnie. Wziąłem ją na ręce, przytuliłem do siebie i zapytałem - co robi mama. "Psodaje"-odpowiedziało dziecko. W tym jednym słowie zawarty był niezmierny ogrom cierpienia moich najbliższych, ich krytyczna sytuacja materialna, by już nie nazwać tego nędzą. Jeszcze jeden rezultat władzy radzieckiej. Stojący nieco w oddaleniu ode mnie współwięźniowie płakali gorącymi łzami współczucia, płacząc nad swoimi bliskimi i nad swoją więzienną niedolą.

W momencie gdy trzymałem dziecko na ręku podszedł do mnie jakiś oficer i patrząc powiedział: "i co, nie żal ci dziecka, gdy cię złapali w lesie?" Odwarknąłem mu, że nikt mnie w lesie nie złapał, bo nie jestem banderowcem jak on



sądził, ale członkiem Armii Krajowej. Nie trudno było poznać, że było mu to najzupełniej obojętne. Takich subtelności jak benderowiec i akowiec nie był w stanie rozwikłać.

Po wykarczowaniu niemałej ilości dębów przetrzucono nas do innej pracy. Kopaliśmy doły dość sporych rozmiarów, a że podlowska ziemia jest gliniasta i ciężka, więc siłą rzeczy praca była bardzo ciężka, tym cięższa, że nad głową stali dozorczy i wciąż napędzali do roboty. Przestoje mogły być bardzo krótkie. Dla mnie wysiłek fizyczny nie był zbyt ciężki, nie byłem paniczkiem, dla którego praca fizyczna była udręką, a że byłem wciąż dobrze odżywiany więc bez specjalnego przemęczenia kopałem doły na chwałę sowieckiej władzy. O wiele gorszym, czymś wręcz nie do zniesienia był fakt, że jestem traktowany jak niewolnik, że stojący nad głową uzbrojony dozorca symbolizuje przymus, niweczący do zera moją wolę.

Gdzieś chyba pod koniec września przeniesiono mnie do obozu w centrum miasta, przy ulicy Grodeckiej, skąd wychodziłem przez kilkanaście dni do różnych dorywczych prac. Aż pewnego dnia nie wyszedłem poza bramę obozu. Jak się domyśliłem miało to związek z otrzymaną poprzedniego dnia paczką żywnościową. Paczka ta była niewielka, a spis zawartości tej paczki wyszczególniał m.in. dwie cebule. Otrzymałem tylko jedną i zacząłem upominać się o drugą, wku niemałemu zdziwieniu dozorców. Wspomnianą paczkę przywiózł do Lwowa mój ojciec, co od razu dało mi do myślenia, że moi najbliżsi wyjechali do Polski. Tak właśnie było, o czym dowiedziałem się nieco później. Upominając się o drugą cebulę byłem pewny, że w niej może znajdować się zakampanowany list od żony, albowiem ta cebula, którą miałem w ręku była nieporuszoną. Fakt, że nie wypuszczono mnie na drugi dzień, ani w dni następne do pracy utwierdził mnie w przekonaniu

niu , że tym razem przechwycili list, niczego nie dając po sobie poznać.

Z ulicy Grodeckiej pod koniec października przetransportowano mnie , wraz z wieloma współwięźniami, do innej dzielnicy Lwowa, gdzie urządzony był wielki, nader gęsto zaludniony punkt zborny więźniów, zwany z ruska " punktem peresylnym". Usytuowano go na Kleparowie. Ołbrzymi plac z zabudowaniami otoczony drutem, że strażniczymi wieżami zapewniał nam pełne bezpieczeństwo egzystencji, pod dobrą opieką przedstawicieli władz socjalistycznego państwa.

W celi znalazłem się w towarzystwie kilkunastu bandziorów ruskich, których ~~At~~ twarze, jeśli można to było nazwać twarzami, robiły najgorsze wrażenie. Przypomniało mi się określenie Sienkiewicza, że zbójce mordujący świętych młodzików, mieli podobne mordy. Wnet przekonałem się z jakimi to typami zetknął mnie los. Przed paroma dniami otrzymałem kożuszek bez rękawów , co wobec zbliżających się chłódów było słuszną decyzją moich rodziców. Na tę część mojej garderoby padły wnet pożądliwe oczy ruskich podludzi.

Jestem bardzo daleki od jakichkolwiek sympatii do rasistowskich teorii w wydaniu hitlerowskim , ale patrząc na ~~niektórych~~ moich chwilowych współtowarzyszy więziennych i na ich napiętowane występkiem oblicza, nie mogę ich inaczej nazwać. To był gatunek najdzikszych dwunożnych małp, jakich można sobie wyobrazić. Myślę, że nawet porównując ich z małpami wyrządzam krzywdę tym biednym, poczciwym stworzeniom leśnym.

Zdarli ze mnie kożuszek, a wszelki mój prostet nie miał żadnego znaczenia. Na drugi lub w któryś następny dzień zjawił się w celi jakiś oficer NKWD, któremu złożyłem skargę wskazując na sprawców, dokonanego rabunku. Nakazał niezwłocznie zwrot

kożuszką i wyszedł. Po jego wyjściu podeszli do mnie "ukarani" zbóje i nie odbierając mi ponownie kożuszkę, powiedzieli z odpowiednim przyciskiem i akcentem: "Pojedziesz z nami na etap, zdejmemy ci ten kożuch razem z twoją skórą!" Na razie na tym stanęło. Przede mną jednak zaczęła zarysowywać się sytuacja, w której się znajduję, gdy rzeczywiście wspólnie wyruszymy w jakąś nieznaną drogę. Byłem świadomy, że swoją groźbę wykonają z całą bandycką bezwzględnością i z całą bezkarnością.

Perspektywa była przede mną wręcz tragiczna. Przychylny tym razem los rozstrzygnął ją na moją korzyść!

Pewnego dnia, a dzień, mimo listopada, był wyjątkowo ciepły i słoneczny, wyprowadzono nas z celi na obszerny dziedziniec, gdzie za stojącym stołem siedziało dwóch enkawudystów, a przed nimi leżały arkusze papieru. Po kolei podchodzili więźniowie do stołu odpowiadając na stawiane pytania, rok urodzenia, imię, po ojcu, nazwisko, "statia" i otrzymany wyrok. Obserwując wszystkich przede mną "obsłużonych" usłyszałem, że każdego pytali o "stan zdrowia". Podeszedłem do stołu, podałem swoją "wizytówkę", a na zapytanie o zdrowie odrzekłem, bez chwili wahania, z odpowiednią intonacją, że jestem chory na "poczki" / nerki/. "Uchadi ~~w~~ kameru" - usłyszałem ku mojej nieklamanej radości.

W ten sposób los rozdzielił mnie od groźnych bandytów, którzy nie wrócili do celi i więcej nigdy już ich nie widziałem.

Dopiero 24 grudnia 1945 roku olbrzymia kolumna więźniów, pod gęstą eskortą wielu konwojentów przemaszerowała ulicami Lwowa w kierunku dworca kolejowego. Maszerując w tej kolumnie żegnałem się z moim ukochanym Lwowem, po ulicach którego, swobodny jak

ptak wędrowałem z uśmiechem na twarzy przeszło dziesięć lat temu, gdy odbywałem swą służbę wojskową, na cytadeli, a potem w 40 pułku piechoty przy ulicy Piotra i Pawła vis a vis Gmentarza Lyczakowskiego. Nie mówiąc o 5 miesięcznym pobycie na kursie w czasie okupacji niemieckiej. Pożegnanie moje z tym wspaniałym miastem było ciche, jak cichą szła długa kolumna na oczach, ze współczuciem spoglądających na nas lwowiaków. Z hukem zatrzaśnięte wrota wagonu bydlęcego robiły wrażenie zatrzaszkującego się wieka trumny.

Po dłuższym wyczekiwaniu, w sam dzień wigilijny pociąg ruszył w nieznane. Wszystkie nasze myśli pobiegły ~~na~~ do naszych najbliższych, w smutku skupionych wokół stołu wigilijnego, z niewysłowionym bólem myślących o nas, ani się domyślających co się z nami dzieje.

Różnęło się życie w wagonie, o wypełnienie którego do granic możliwości postarała się władza radziecka. Wagon podzielony był poziomo. Na "półtrze", z możliwościami spoglądania przez zadrutowane okienko, ułożyli się pospolici bandyci i różnego innego rodzaju śmiecie społeczne, wzorem carskiej Rosji zmieszane z więźniami politycznymi, za jakich mieliśmy się prawo uważać. "Na parterze", czyli na podłodze, wzdłuż ścian wagonu ułożyła się gęsto, jeden przy drugim, brać AKowska. Na środku wagonu stała wbita w podłogę, kwadratowa drewniana rura, mająca wszystkim służyć za ubikację. W pobliżu stał również piecyk żelazny z niewielką ilością drzewa do palenia.

Goście z piętra bardzo szybko zeszli na dół dla obejrzenia pozostałych pasażerów. Zaczęło się zdzieranie z nas swetrów, rękawic, butów, szalików i wszelkich innych drobiazgów mogących

stanowiąc obiekt wymiany z konwojentami za chleb, papierosy i tytoń. Próba przeciwstawienia się grabieży była bez szans, nie tylko wobec przewagi jaką z reguły dysponowali bandyci, ale i ze względu na postawę konwojentów zawsze stających po stronie ruskich, to nie, że bandziorów, ale zawsze swoich. Nie po raz pierwszy zresztą zetknęliśmy się z tak rozumianym patriotyzmem, rzekomych internacjonalistów, którym od wielu lat wpajano ~~na~~ wstręt do wszelkich nacjonalizmów. Wielokrotnie później miałem okazję odczuć niekiedy nazbyt boleśnie, jak z dzikim i niepohamowanym nacjonalizmem rosyjskim przyszło mi się zetknąć †

Zorientowawszy się w sytuacji, bez namysłu, pragnąc uchronić porządny, z futrzanym kołnierzem płaszcz, porozdzierałem go w wielu widocznych miejscach. Za jeden z ~~kwadrans~~ cudów uważałem, że nie zdarto mi z uóg solidnych kanadyjskich trzewików wojskowych, w których wyszedłem z domu i dotąd szczęśliwie uchroniłem przed stratą.

Droga z nazbyt częstymi postojami zaczęła się piekielnie wydłużać, tym bardziej, że zaczął dokuczać, z każdym dniem zwiększający się głód i chłód. Dostarczane jedzenie było niewystarczające / niezbyt pożywna, tyle, że ciepła zupa i kawałek chleba/, nie mówiąc o rosnącym zimnie, którego smrodzący piecyk nie był w stanie złagodzić.

Jakby dla zwiększenia niedogodności "podróży"- na moje nieszczęście zachorowałem na grypę. Przez kilka dni dygotałem z gorączki. Dzięki silnemu organizmowi przezwyciężyłem chorobę, oczekując jak wszyscy pozostali na zakończenie, wciąż niekończącej się drogi. Dla "urozmaicenia", przeżyłem krótką bójkę z jednym z pasażerów z piętra. Wypatrzył, że jestem w posiadaniu "bumagi", tak potrzebnej do skręcania papierosów. Ta ~~ta~~ "bumaga"

dla ruskiego prymitywu była nieduża książeczka dostarczona mi jeszcze przez żonę/ szczęśliwie dotarła do moich rąk/ wydawnictwa zasłużonego Zukerkandla ze Złoczowa pt. "Wybrane poezje" Juliusza Słowackiego. Mimo zachowywanej dyskrecji w czytaniu, szczególnie ulubionego przeze mnie poety i mimo niezbyt korzystnego światła nawet w ciągu dnia, złodziejskie oczy dostrzegły papier w moim ręku. Na żądanie oddania mu "bumagi" odmówiłem, narażając się na bezpośredni atak. Nie pozostałem mu dłużny, wyrzuciłem go w pysk, on z kolei chwycił mnie spod pieca polano chcąc mnie zdzielić po głowie. Zasłoniłem się ręką i odbiłem polano. Miejsce na bójkę było zbyt niewygodne. Poruszenie sojuszników z pietra zmusiło mnie do rezygnacji z dalszego oporu. Wyrwał mi bronią książeczkę i z triumfem, odgrając się, że jeszcze się ze mną policzy, przeniósł się na swoje legowisko. Mój Słowacki spłonął wraz ze śmierdzącą machorką. Niejednokrotnie przez dość liczne szpary w ścianach wagonu obserwowaliśmy bezkresne zaśniewane pola, a na stacjach zasypane piramidy ziarna, oczekujące zapewne na dalszy transport. Ludzi do wagonów nie dopuszczano żadnych, co tym <sup>łatwiej</sup> ~~bardziej~~ przychodziło konwojentom realizować, że ruski człowiek już dawno przywykł do tajemniczych transportów przewalających się po tej umęczonej ziemi.

### III.

Po dwóch wreszcie tygodniach, wyczerpującej podróży, mordęgi, w sam dzień Trzech Króli, 6 stycznia 1946 roku - prawie w okrągły rok po aresztowaniu - pociąg stanął. Odryglowano wrota wagonu i nakazano wychodzić. Zeskoczyłem z wagonu

i znalazłem się w białej kurzawie śnieżnej, szalejącej wokół nas i stojącego pociągu. Spoza białej zasłony wirującej na piekielnym wicherze widoczność była żadna. Idąc za głosem prowadzącego konwojenta po kilkunastu minutach diabelskiego marszu wśród śnieżnej zadymki, znaleźliśmy się wreszcie pod dachem baraków, z drewnianymi pryzami wewnątrz, jako jedynym umeblowaniem.

Odetchnęliśmy z ~~wielką~~ ulgą. Odgłos wichru dochodził, ale jakby z dużej odległości. W baraku było cicho, ale piekielnie smutno.

Siedziałem na pryzcy i myślałem- gdzie jestem ? W jakiej części tej bezkresnej Rosji wylądowałem wbrew swojej woli i wszystkim, moim chęciom ? Do tak zamysłonego podeszło do mnie nagle dwóch młodych ruskich. Jednego z nich wyjątkowo dobrze zapamiętałem . Twarz miał właściwie bez wyrazu, nie było na niej piętna złych czynów, tak charakterystycznie ~~z~~ rzucających zwyczajnych bandytów. Był to chyba jeszcze młody terminator w rzemiośle bandyckim. Wysepleniał do mnie cichym głosem, podobnym do syku węża - " snimaj batinki". Gdy odruchowo podkureczyłem nogi pod siebie chroniąc moje kanadyjskie trzewiki, zauważyłem w ręku drugiego nóż. Zrozumiałem, że wszelki energiczniejszy opór może się skończyć źle. Rozsznurowałem trzewiki i rzuciłem je pod nogi. On z kolei zdjął swoje i rzucił pod moje nogi. Ubrałem je, choć były trochę za ciasne, z żalem patrząc, jak w moich trzewikach ruski złodziej odszedł w głąb ponurej izby.

Na drugi dzień, po przespanej na twardych deskach nocy, ogłoszono, że komu cokolwiek zabrano należy zgłosić komisji, która niebawem przyjdzie do baraku. Rzeczywiście przyszło trzech w zielonych mundurach, z których jeden trzymał w ręku

solidną, grubości męskiego ramienia pałkę. Gdy podeszli do mnie, wskazałem złodzieja moich trzewików siedzącego nieopodal, wyjaśniając, że wczoraj zdarł je ze mnie. Szef- jak mogłem się domyślać- komisji, ten z pałką, zbliżył się do siedzącego pokornie złodziejaszka i spokojnie rzekł: "snimaj batinki". On- wskazując na mnie- sam~~ę~~ mi je dał. Zaprzeczyłem gwałtownie, a człowiek z pałką unosząc ją w górę huknął gromkim głosem: "snimaj batinki, job twoju mat'", Zanim przebrzniały groźnie wypowiedziane słowa już moje trzewiki miałem w reku i trzucając ruskiemu jego obuwie, za chwilę miałem na nogach odzyskane moje trzewiki.

Cała ta scena była wrecz klasyczną w łagrowym życiu epoki stalinowskiej. Nie jest przecież wykluczone, że egzekutor sprawiedliwości sam za parę dni nie chodził i nie ogra- biął spotkanych innych więźniów. Na ten raz jednak wykonał ~~wykonanie~~ iście złodziejskim honorem nakazaną mu egzekucję.

Wśród krzątających się ruchliwych handziorów spostrzegłem tego, z którym stoczyłem małą bojkę w wagonie. Chodził rozglądając się, jakby kogoś szukał. Domyśliłem się kogo szukał, chcą wykonać zapowiedziane "policzenie się". Szukał niewątpliwie mnie. Nawet spojrzał na mnie, ale że spotkał się z kimś całkowicie obojętnie na niego patrzącym, odszedł nadal rozglądając się po obecnych w baraku. Nie poznał mnie, gdy ja doskonale go sobie przypominałem, nie dając tego poznać po sobie. Rozpoznanie mogłoby mieć dla mnie nader przykre następstwa.

Po kilku dniach nędznej wegetacji w pierwszym łagrowym baraku /dziwna rzecz- nie było pluskiew/, przetransportowano nas samochodami do innych pomieszczeń. Konkretnie zapędzono



dużą gromadę ludzką do dużego baraku stojącego na znacznym podwyższeniu, jakby na podmurówce. Wewnątrz było po prostu mroźnie. Dotkliwie zimno wiało z licznych szpar podłogi, pod którą rozprzestrzeniały się zimne piwnice. Dalej nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Ze świeżo "zakwaterowanych" zaczęto wybierać niektórych, jakie było kryterium tego wyboru, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Wybranych wyprowadzono na zewnątrz, na siarczasty mróz. Po kilku godzinach wrócili przemarznięci, zmordowani, z trudem łapiący oddech. Wyprowadzono ich nad niedaleką skutą lodem rzekę, gdzie ich zadaniem było wyrąbywanie z lodu leżących tam zapewne od lat potężnych kłód drzewnych i ~~wybieranie~~ <sup>wydobywanie</sup> ich na brzeg. Katorżnicza praca, w warunkach ostrego mrozu, była niesamowitą męczarnią. Los i tym razem był dla mnie łaskawy, nie znalazłem się bowiem w gronie "wybrańców". Zygmunt Barszcz, którego los skazał na tę pracę nie miał słów by przedstawić jej grozę. Noce w tym baraku były szczególnie dokuczliwe z powodu zimna. Spaliśmy na podłodze, prycze bowiem zajęli wciąż obecni ruscy bandyci i mimo że staraliśmy się ogrzać tuląc się do siebie, zimno nadal nas doskwierało. Chyba nie muszę podkreślać, że o jakimkolwiek rozbieraniu się do snu nie mogło być nawet mowy.

Po kilkunastu dniach solidnej głodówki i zimna przetrzucano nas znowu do innych baraków, ogrodzonych deskami i wieżyczkami strażniczymi w narożach i odgradzonych od parkanu "zapretną zoną", odrutowanym miejscem, do którego wstęp był nie tylko zabroniony, ale znajdował się pod bezpośrednim ostrzałem, karabinów maszynowych z wieżyczek.

Jak po kilku dniach zorientowaliśmy się, zabudowania łagrowe składały się z kilku podłużnych baraków parterowych, z długimi, co najmniej na dwadzieścia kilka metrów izbami,

po obu stronach ścian zabudowanymi przyczami piętrowymi, ciągnącymi się nieprzerwanie wzdłuż ścian. Po środku biegła droga, którą dochodziło się do wyznaczonych miejsc spoczynku. Przez całą noc świeciło się dość ostre światło elektryczne. Pokotem, ciasno jeden przy drugim leżeli więźniowie, gdy nadchodził czas snu. Jeśli ktoś z leżących chciał się obrócić na drugi bok obowiązkowo obracać się musieli wszyscy. Jak wyglądał wypoczynek w takim stłoczeniu, chyba zbyteczne jest opisywać. Oczywiście nie zapomniały o nas pluskwy, nieodstępne towarzyszki ugodzonego żywota więziennego. Baraki były maksymalnie zapluskwione, ale i do tego trzeba się było przyzwyczajać! Jedynym plussem baraków było to, że nie było w nich zimno i można się było do snu rozebrać, <sup>przykrywając się</sup> ~~wykorzystując~~ <sup>urzędowymi</sup> kocami.

Poza dwoma lub trzema barakami, na centralnym placu stał budynek stołówki, do której brygadami chodziło się na zupę, rano i wieczorem, drugi raz z otrzymywanym chlebem/80 dkg/. Zupa składała się z kilku listków kapusty, a jej cała wartość odżywcza kończyła się na ciepłej, nawet gorącej wodzie, w której pływały strzępy liści kapusty. Żadnym obiadem, nikt nie zwracał sobie głowy. Ważnym budynkiem ~~myśla~~ był drewniany, piętrowy blok szpitala łagrowego, w którym odpowiednio wydzielony działał punkt w języku łagru zwany "K-We-Cze" /Kulturalno-Wospitatelnaja Czast'/. O kulturę "bladiej" dbano. Oprócz rosyjskich książek dostępnych w bibliotece K-We-Cze, od czasu do czasu spędzano nas do stołówki na propagandowe pogadanki, z których dowiadywaliśmy się w jakim to szczęściu i dobrobycie żyją narody Związku Radzieckiego. Większego cynizmu i drwin z niedoli ludzkiej trudno sobie wyobrazić! Ale to była właśnie

rzeczywistość stalinowskiego reżimu, okrutna i bezlitosna.

Wspominałem wyżej, że chodzący do pracy/ o niej za chwilę/ otrzymywał 80 dkg chleba. Biorąc pod uwagę nasz chleb, nie było to mało. Tak, ale należy przyjąć zasadniczą poprawkę. Chleb, który otrzymywał więzień o tak okazałej wadze był w rzeczywistości kromką ~~chleba~~ grubości dwóch centymetrów <sup>wypiekane</sup> ~~z rozrodzonego~~ w blaszanych formach bochenka, a przy tym przez "chleboreza" maksymalnie namoczonego, by więcej ważył. Gliniaste, czarne ciasto stanowiło jedyną, najważniejszą część całodobowego wyżywienia, więźnia!

Po zakwaterowaniu nas w barakach stworzono brygady pracy, z których każdą liczyła około 20 ludzi. Na czele każdej stał brygadier odpowiedzialny za wykonywaną przez jego ludzi pracę. Sam oczywiście nie pracował. Chyba zbyteczne dodawać, że brygadierami byli wyłącznie Rosjanie. Przez cały czas pobytu w tym przeklętym kraju, ani razu nie spotkałem brygadierów innej narodowości. Znalazłem się w brygadzie pracującej w tzw. "oeci fermie". Było to przedsiębiorstwo, jeśli tak w ogólnie można nazwać kilkadziesiąt maszyn, heblarek, różnego rodzaju pił, obrabiarek drewna, stłoczonych pod dachem jednego baraku.

Barak ten stał od łagru około 2 km, które codziennie przemierzaliśmy tam i z powrotem pod Argusowym okiem strażnika, stale i niezmiennie zapowiadającego, że " szag w lewo ili w prawo, budiet peremieniatsia orużje bezpredupreżdienia"/ krok w lewo lub w prawo, a strzela sie bez uprzedzenia/, co trzeba było potwierdzić chóralnym i możliwie gromkim głosem " poniátno" / zrozumiano/.

Do pracy szliśmy wzdłuż brzegu wielkiej rzeki, jak miałem okazję stwierdzić w lokalu " K-We-Cze", oglądając mapę, Kamy największego doływu Wołgi. Łagier zaś usytuowany był na przed-

mieściu miasta zwanego wówczas Mołotow, a lepiej znanego polskim zesłańcom w XIX wieku - Permu, leżącego w głębi europejskiej części Rosji, na poduralskiej nizinie, mniej więcej na wysokości Leningradu. Wiedziałem więc dokładnie jak olbrzymia odległość dzieliła mnie od moich drogich mi osób. Około 3 tysięcy kilometrów, a więc wystarczająco daleko, aby mieć nadzieję, na możliwy rychły powrót. Bez względu bowiem na sytuację, które przeżywałem w jedno nie wątpiłem nigdy - że wrócę do swoich.

Pracę rozpoczęliśmy od podparcia walącego się baraku. Trzeba było wykopać kilkanaście solidnych słupów i zbicie je potężnymi gwoździami z nadwątloną ścianą budynku. Barak był uratowany, można było wejść do środka i rozpocząć pracę. Produktem naszej wielogodzinnej pracy - nikt przecież nie przestrzegał 8-gio godzinnego dnia pracy - były drewniane skrzynki, o rozmiarach ok. 70x40 cm oraz rulony składające się z dwóch jednakowych części/ połówek/ spajanych kołkami. Skrzynki miały być na amunicję, rulony zaś na pociski armatnie. Wszystkie maszyny były "trofiojne" /zdobywcze/ z czasów wojny, co łatwo było sprawdzić odczytując firmy niemieckie na etykietach metalowych przyspawanych w odpowiednich miejscach. Zresztą na dziedzińcu przed barakiem stało wiele różnego rodzaju maszyn, niszczących bezużytecznie na świeżym, nadkamskim powietrzu.

Motory elektryczne bardzo często "wysiadały", ku naszej ~~nie~~ ~~szere~~ cichej radości z zapowiadającego się nieróbstwa. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Czuwał nad motorami nasz znakomity inżynier Kowalenko, specjalista elektryk. Każdy motor, który ucichł wracał w bardzo krótkim czasie do życia, za dotknięciem czarodziejskich ~~palców~~ ~~inżyniera~~ inżyniera. Parokrotnie po

powrocie do baraku mówiłem naszemu kochanemu inżynierowi, aby nie śpieszył się z naprawą motoru, aby przeciągał usuwanie awarii, bo przecież w tym czasie możemy nic nie robić. Nie dochodziło to do świadomości inżyniera, ~~wiem~~ który stale powtarzał, przecież tam nie było żadnej awarii, więc nie mogę długo się przy tym bawić. Nie rozumiał oczywiście, solidny polski inżynier, że stojący koło niego majstrowie rusczy, nie mieli najmniejszego pojęcia o elektryczności i można ich było wodzić za nos dowoli, bez żadnych konsekwencji. Przekonaliśmy się o tym, gdy inżyniera przeniesiono pewnego razu do innego łagru.

Gdy wówczas zatrzymywały się strugarki lub piły, mieliśmy nielada uciechę, majstrowie bowiem tzw. wolni ludzie/sami określali różnicę między sobą a nami: my bez konwoja a wy z konwojem 1/ grzebali się w instalacji, bezradni i ciemni jak tabaka w rogu. Po prostu nie byli kwalifikowanymi elektrykami, nie więc dziwnego, że przestoje w pracy trwały długo, ku naszemu zadowoleniu. Prawdę mówiąc, praca nie była ciężka i co najważniejsze odbywała się pod dachem. Wobec trwającej poduralskiej zimy miało to poważne znaczenie. Już w czasie marszu dostatecznie boleśnie odczuwaliśmy ostry mróz, który niezmiennie dzień po dniu trzymał w okowach rzekę i pokrytą grubą warstwą śniegu ziemię. Kraj był nieciekawym. Jednostajna biała przestrzeń, ciągnąca się bez końca, jedynie w dali, w dniach jaśniejszych widoczne były zabudowania miasta, którego nie mieliśmy okazji oglądać od środka.

Najgorszym w sytuacji w jakiej znajdowaliśmy się prawie wszyscy był doskwierający głód. To, co otrzymywaliśmy jako tzw. jedzenie, urągało w stosunku do potrzeb, nie tylko pod względem ilości, ale przede wszystkim jakości.

Jakże mogła zaspokoić głód kromka chleba i dwa razy spożywana / rano i wieczór/ wodnista zupa, z kapuścianymi liśćmi bez żadnego oczka jakiegokolwiek tłuszczu. W tej trudnej sytuacji żywnościowej najlepiej mieli się Ukraińcy, z Małopolski Wschodniej i Wołynia otrzymujący spore paczki żywnościowe od swych rodzin. O dziwo - paczki dochodziły nieuszkodzone, i nie naruszone. Codziennie gotowali na kuchni w baraku, w którym pracowali obfite dania różnego rodzaju gęstych kasz, okraszanych skwarkami. Nie brakowało im i innych specjałów, których zapachy unosiły się przez cały barak, powodując u pozostałych przełykanie śliny i skwierzenie w pustym żołądku. Swymi zapasami Ukraińcy nie dzielili się z nikim, byli absolutnie nieczuli na głodówkę swoich najbliższych towarzyszy więziennych.

Skutki niedojadania wnet dały znać o sobie, postępującym osłabieniem. Czuło się wyraźnie, ubytek sił, a przecież trzeba było to było przetrwać. W łagrze była dość duża liczba Polaków. Spotkałem lwowiaków, którzy opowiadali mi jak to w momencie zbliżania się armii radzieckiej, w pobliżu Lwowa, zgrupowane oddziały Armii Krajowej urządziły zasadzkę na jeden z większych oddziałów niemieckich rozbijając go dopiętnie i tym samym znacznie ułatwiając zajęcie Lwowa przez Krasnoarmiejców.

W dowód uznania władze radzieckie uhonorowały wielu AK-owców medalem za odwagę, a za parę dni udekorowanych i nieudekorowanych aresztowali, osadzili/ prawie wszyscy po 10 lat/ i wywieźli na Ural. Z takimi właśnie się zetknąłem.

Dość duża grupa Polaków trzymająca się razem, unikająca w miarę możliwości stykania się z Ruskimi, szczególnie na terenie łagru, pragnąc się oderwać od łagrowej rzeczywistości prowadziła dość niebezpieczne rozmowy. Bezustannie z wytrwałością

godną lepszej sprawy opowiadali jakie to przysmaki przyrządza-  
ły im żony w nie tak dawnym życiu domowym. Niebezpieczeństwo  
takich rozmów, przy systematycznym niedojadaniu było ~~oczywiste~~.  
Pobudzone <sup>(dodatkowe soki w pustych jelitach, jeszcze bardziej zwiększając)</sup> rozbujałą wyobraźnię organizmy wydzielały wciąż trwa-  
jące uczucie głodu. Nie mogłem ścierpieć tak wyraźnej głupoty.  
Przy każdej okazji wytykałem im nonsens takich rozmów, wprost  
i bez ogródek wyrażając moje zdumienie, że ludzie inteligentni  
zamiast zająć się wyobraźnię rozmową o literaturze, sztuce,  
historii lub czymś praktycznym, by uciec od bagna łagrowego,  
i by samych siebie nie ~~zburczać~~ <sup>i</sup> ~~nie~~ systematycznie  
nie dobijać, wciąż wracają do minionych bezpowrotnie sytuacji  
domowych obfitujących w smakołyki, o których nie warto nawet  
wspominać. Skutek moich zdecydowanych uwag był wręcz odwrotny  
niż moje ~~zawsze~~ najsluszniejsze intencje. Zebrani w ~~na~~ zwartej  
grupie, gdy się do nich zbliżałem - chyba zrozumiało, że chciałem  
być w gronie swoich ludzi - milkli, spoglądając na mnie niechętnie,  
jakby oczekując, abym ich co prędzej opuścił.

Postanowiłem inaczej bronić się przed skutkami głodowania.  
~~So~~szedłem do K -W-Cze i wypożyczyłem książkę w języku rosyj-  
skim. Języka tego nie znałem, ale znałem język ukraiński,  
którego uczono mi w naszych szkołach. To wystarczało, aby  
język rosyjski i zaznajomienie się z nim i bliższe <sup>e</sup> ~~je~~ pozna-  
nie przestało sprawiać mi trudności. I w tym samym czasie gdy  
moi koledzy oczekując pod stołówką w kolejce na tzw. śniada-  
nie niecierpliwili się i denerwowali, ja ~~st~~ stanąwszy koło drzwi,  
na uboczu pochłaniałem Maksyma Gorkiego "Dzieła wybrane".  
Styl tego pisarza i ~~język~~ <sup>język</sup> stawał się dla mnie coraz bliż-  
szy i coraz zrozumialszy. Niezmiernie się z tego radowałem,  
mimo iż koledzy moi wyrażali wobec mnie najdalej idącą dezapro-

batę, dziwiąc się, moim chęciom zaznajomienia się z tym znie-  
nawidzonym językiem. Trwałem nadal przy swoim, wychodziłem  
bowiem z założenia, że jeśli zaistniała okazja to trzeba się  
nauczyć języka moich wrogów by ich lepiej poznać i zrozumieć.  
W mojej akcji językoznawczej byłem zupełnie osamotniony,  
jakoś nikt nie chciał mnie naśladować, nie mogąc zrozumieć,  
że nawet w ohydnej atmosferze łagrowej, można odkrywać  
piękno zawarte w książkach takiego właśnie pisarza jak  
Maksym Gorki.

Pewnego dnia ku mojej nieprawdopodobnej wręcz radości  
otrzymałem od moich rodziców, którzy pozostali w Samborze,  
skromną, taką na jaką ich było stać- paczkę. Był w niej  
suszony chleb, słoik smalcu z przysmażoną cebulą, ok.kilo-  
grama mąki i tyleż kaszy jaglanej, do tego dodano kilka ce-  
bul i kilka główek czosnku. Były to skarby, które znacznie  
podreperowały mój wyraźnie osłabiony już organizm. Do spoży-  
cia skarbów zaprosiłem Zygmunta Barszcza, z którym najbliższej  
współżyłem jako dobrym i rozumnym kolegą. Po dość szybkim  
spożyciu zawartości paczki zaczęliśmy żyć oczekiwaniem na  
ewentualnie następną. Dziękując rodzicom za tak wspaniałe  
zastrzyk witaminowy napisałem do nich kartkę, co na szczęś-  
cie było dozwolone.

A tymczasem dni upływały podobne do siebie jak dwie krop-  
le wody, bez żadnych zmian i nowości. Obserwowałem bacznie  
toczące się wokół życie, którego nędzna proza nie mogła być  
zastrzykiem nadziei na coś lepszego. Ostra zima wciąż trwała,  
mimo, że rozpoczął się już marzec. W jednym z takich marco-  
wych, zimnych dni byłem świadkiem sceny, która mnie wstrząs-  
nęła do głębi. Jeden z naszych kolegów po opuszczeniu przez  
ostatnie brygady stołówki, wkradł się do środka by wyzbie-



rać najuczciwsze z uczynnych resztki pozostawione w minimalnych okruchach na stołach. Cóż tam mogło zostać po ludziach, którzy szanowali każdy skrawek liścia kapusty i każdą okruszynę chleba. W złudnej nadziei zaczął myszkować po stołach. Został go przy tym "opiekun", może lepiej powiedzieć dozorca stołówki, rosły drab ruski. Porwał go za kołnierz i solidnymi kopniakami wyrzucił go złańmanionego i zbitego na śnieg. Poszedłem do niego i ~~tył~~ nie tylko nie wyraziłem mu współczucia ale po prostu ~~zazwyczajnie~~ zrugalem go nazywając człowiekiem, który zapomniał o własnej godności. Powiedział mi na to, że jest głodny, jak gdybym nie wiedział, że takich głodnych było bardzo wielu, ale żaden jak dotąd nie dał się tak sponiewierać jak on, do tego oficer polski, bo nim był. I wówczas powiedziałem sobie, że bym miał zdecydować z głodu do żadnego śmietnika nie pójdę. I jest nieprawdą, że każdy głodny prędzej czy później musi pójść do śmietnika. Mówię to z całą świadomością na podstawie mojego doświadczenia, "muzułmaninem" lub "dochodiagą", jak określano tych biedaków w łagrach stalinowskich staje się człowiek wewnętrznie załamany, taki, który wyżył się wszelkiej nadziei, pozbawiony przy tym jakichkolwiek zainteresowań, które koniecznie bodaj w myślach trzeba pielęgnować, by nie zostać zdeptanym przez łagrową atmosferę. Bronilem się przed takim wdeptaniem w błoto, nie tylko czytając książki rosyjskie. Obmyśliłem sobie jeszcze inny sposób ratowania się przed wewnętrznym załamaniem. Sporządziłem sobie ze skrawków papierów, z otrzymanej paczki, mały notesik, w którym zacząłem pewnego dnia, posiadając uielada skarb, mały ołówek, spisywać echa moich dotychczasowych studiów i zainteresowań. Robiłem to przed oficjalnym "podjomen"/pobudką/ korzy-

stając z jasno oświetlonego baraku. Nakreśliłem w ten sposób sylwetki Szymona Askenazego, Stanisława Brzozowskiego, Stefana Czarnowskiego, Ludwika Krzywickiego i paru innych jeszcze postaci, o których posiadałem bliższą znajomość rzeczy. Moi sąsiedzi budząc się spoglądali na mnie w niemalym zdumieniu, wymownie stukając się w czoło. Nie rozumieli, że to był jeden ze skutecznych sposobów neutralizowania niweczących odporność ludzką wpływów łagru.

Dla sprawdzenia, przy najbliższej okazji przeczytałem plan moich skromnych wysiłków ratowniczych inż. Kowalence. Wysłuchał z dużym zainteresowaniem i powiedział mi: tych ludzi, o których pan pisze nie znam, to z innej dziedziny wiedzy, ale sposób ich przedstawienia przemawia do człowieka nawet nie obeznanego z ich działalnością. Ogromnie się tym ucieszyłem. Radość moja jednak nie długo trwała. Pewnego dnia mój notesik znikł bezpowrotnie. Ukradziono mi go na "bumagę" do machorki. Po raz drugi już nie podjąłem prób pisarskich. Zaszedł zresztą wypadek, który wyeliminował mnie na trzy miesiące spośród pracujących na chwałę Związku Radzieckiego.

Pracowałem przy różnych pilach i przy strugarce, ani razu nie dostąpiłem zaszczytu pracy przy obrabiarce. Nie wiem jakie były tego powody. Wcale się tym nie martwiłem, wciąż mówiąc sobie, że jestem tutaj przez najdalej posunięte bezprawie i chyba miałem rację, że wszelką robotę traktowałem jako przymus, który angażował tylko moje mięśnie, nigdy zaś umysł i serce. Pracując pewnego dnia przy strugarce/heblarce / w jakimś niezrozumiałym dla mnie momencie chciałem odsunąć od pędzących noży niewielką drzazgę. Usunąłem, ale równocześnie noże oderwały mi koniuszek

/ na szczęście nieznaczny/wskazującego palca lewej ręki. Oczywiście przerwałem robotę, zabandażowano mi palec a po powrocie do łagru skierowano do szpitala. Przyjęto mnie i położono do wyjątkowo schludnie utrzymanego pomieszczenia. Opiekę nad szpitalem sprawowała Rosjanka Kapitolina Iwanowna, tak ją wszyscy nazywali, stąd nie znam nazwiska.

Jeden z rzadkich ludzi/ po niedawnym odbyciu więzienia\* jak mówiono/ o złotym sercu i macierzyńskiej wprost miłości dla tych wszystkich, którzy mieli okazję bliższego się z nią zetknięcia. W stosunku do zbirowatych wszystkich innych naczelników i komendantów, cechujących się nieludzkim sposobem zwracania się do więźniów Kapitolina Iwanowna była chlubnym wyjątkiem i to jedynym, którego spotkałem do samego końca mojego pobytu w Rosji. Jeszcze o niej będę miał okazję powiedzieć i o jej sercu objawionym w stosunku do mojej osoby przy dalszym opisie moich losów.

Kapitolina Iwanowna po obejrzeniu mojego zranionego palca zaakceptowała przyjęcie mnie do szpitala i zaczęło się moje solidne wypoczywanie. Po kilku jednak dniach prawie zagojony palec uczynił mnie kandydatem do wypisania ze szpitala. I tu znówu los czuwał nade mną. Zachorowałem na grype. Pracujący w szpitalu lekarz Polak, Dąbrowski, gdy zgłosiłem się do niego wzięwszy mnie za puls orzekł, że nie mam gorączki. Na wszelki jednak wypadek wsunął mi pod pachę termometr. O dziwo, tego nie spodziewał się lekarz, na podziałce termometru było 38,5. Oczywiście zatrzymano mnie nadal w szpitalu. Kuracja chyba nie trwała dłużej jak dwa tygodnie i gdy już miałem opuścić szpital, tak bardzo miłe miejsce wypoczynku, zjawiała się w szpitalu kilkuosobowa komisja z samym naczelnikiem, łagru, rdzonym zapewne Rosjaninem o nazwisku Nirensztejn!

Obeszli cały szpital, oczywiście w towarzystwie Kapitoliuy Iwanownej, zapisywali niektórych pacjentów, moje nazwisko zapisali również i wyszli. Za kilka dni wszystkich zapisanych w szpitalu i jeszcze kilkudziesięciu wywołanych z baraków zgromadzono na dziedzińcu, do których przemówił sam pan naczelnik. Treść tego przemówienia była zaskakująca i wręcz nieprawdopodobna. Ni mniej ni więcej dowiedzieliśmy się, że jesteśmy grupą, która na rozpocząć od jutra pobyt w baraku, który nam wskazano, na dwumiesięczny okres w punkcie zwanym OP/ozdrowicielnyj punkt/. Stało się coś, czego nie byłem w stanie pojąć, jak zresztą wszyscy pozostali. Pytaliśmy się nawzajem, co to ma znaczyć i jakim cełom ma służyć ta przedziwna kuracja. Zaczęliśmy przypuszczać, że zapewne po upływie wyznaczonego czasu zostaniemy wszyscy wysłani na daleki etap, albo nad Peczorę za koło podbiegunowe lub na koniec świata nad Kółymę. Na razie jednak otrzymaliśmy barak z łózkami zaścielonymi prześcieradłami i kocami. I choć w izbach było dość tłoczno, to w stosunku do niedawnych naszych miejsc pobytu, powitał nas nadspodziewany luksus. Nie na tym był jednak koniec zaskoczenia. Codziennie rano gdy inne brygady wyszły do pracy zwartym szykiem udawaliśmy się do stołówki na śniadanie dość znacznie różniące się od niedawno spożywanej zupy kapuścianej. W południe ponownie prowadzono nas do stołówki na obiad składający się z dwóch lub trzech łyżek kaszy /pęczaku/ bez odrobiny tłuszczu. Wieczorem kolacja z chlebem / 80 dkg jak pracujący/ i zupa. Na żadne roboty nas nie prowadzono.

Czas między posiłkami przeznaczony był na obowiązkowe leżenie w łózkach. Korzystając z wolnego czasu poprosiłem o książki. Wyraziłem chęć przeczytania coś Lenina. Otrzymałem

któryś tam tom zbiorowego wydania, ale niestety niewiele skorzystałem. Język Lenina był dla mnie, w ówczesnym stanie znajomości języka rosyjskiego, zbyt trudny i niezrozumiały. Nadal jednak czytałem Gorkiego i Korolenko.

Ten iscie błogosławiony stan rzeczy trwał prawie do końca maja. Przyznam szczerze, że wciąż pytałem sam siebie z niemałym niepokojem, jaką to cenę przyjdzie zapłacić za nieprzewidziane w łagrze wczasy. W ostatniej ~~kwartale~~ dekadzie maja zaczął tajać śnieg i ruszyły lody. Słońce zaczęło gwałtownie dogrzewać, a śnieg znikał w oczach. Miało to swoje nadspodziewane skutki, występująca z bżegów Rama zalowała szeroką dolinę, na dnie której stały nasze baraki. Nastąpiła ewakuacja łagru do wyżej położonych baraków, gotowych na przyjęcie nowych gości. Skończyło się OP, zacząłem chodzić do pracy podobnie jak i inni niedawni wczasowicze. Wyznaczono mnie do szczególnie niebezpiecznej roboty. Podprowadzono nas kilku do olbrzymiej sterty potężnych pni drzewnych, narzucanych w sposób najbardziej chaotyczny, jaki można było sobie wyobrazić. Zadaniem naszym miało być przy pomocy żelaznych łomów wydobywać długie na kilka metrów, różnej grubości pnie i układać je w pownej odległości od chaotycznej sterty. Robota była bardzo niebezpieczna. Kręciłem się koło sterty i szukałem, niezwykle czujnie obserwując całą stertę, niebezpieczne zwalisko pni, którego by z nich najłatwiej było wygrzebać. Nie muszę dodawać, że praca musiała mieć tempo ślimacze. Niebezpieczeństwo zwalenia się pni było zbyt wielkie, aby można było pozwolić sobie na beztroskie tempo i jakikolwiek pośpiech.

Powien Ruski, dziwnie ponury, a może raczej smutny zauwa-

żywszy moją super<sup>o</sup>strożnością przy zbliżaniu się do pułki pozwolił sobie na pewną, nie pozbawioną kpiny, uwagę: "czego się tak boisz?" Odpowiedziałem, że chce wrócić zdrowy, bo mam do kogo wracać i nie mam zamiaru zostać zgnieciony przez pułkę.

Po kilku dniach odwołano mnie z tej niebezpiecznej pracy i niebawem dowiedziałem się, że ten wyżej wspomniany biedaczysko, zbyt pewnie ~~w~~podchodzący do płataniny pułki został przez nie przywalony i zginął.

Po kilkunastu dniach pobytu w nowym łagrze, zjawili się jacyś w wojskowych mundurach, domyśliłem się, że są to eukawudyści i zaczęli wybierać i odsyłać na stronę upatrzonych przez siebie osobników. Wśród grupy liczącej około 40-50 ludzi znalazłem się i ja. Gdy obejrzałem nowych współtowarzyszy, a spojrzenie na różnych ludzi miałem już wyostrzone, ze zdumieniem graniczącym ze zrodzoną nagle obawą spostrzegłem, że znalazłem się w grupie najbardziej rasowych napiętnowanych przestępczością okazów. Na ich zbójeckich twarzach wypisane było całe ich przestępcze życie.

Wyprowadzono nas za bramę i po dość długo trwającym marszu znaleźliśmy się przed bramą łagru, z którego nas niedawno ewakuowano. Domyśliłem się, że woda zapewne <sup>ustąpiła</sup> wystąpiła i że niedługo wrócą wszyscy mieszkańcy. Tuż za bramą całą grupę zatrzymano.

Z prawej strony stał znany mi szpital. W pewnym momencie drzwi szpitala otworzyły się i wyszła Kapitolina Iwanowna. Spojrzała na stojącą grupę, podszła do mnie i dziwnie brzmiącym, wręcz wystraszenym głosem zapytała mnie: "ty czego zdzić?" Nie znaju - odpowiedziałem. - Położy - rzekła

zabierając z rąk konwojenta papier, zapewne liście całej grupy i znikła za drzwiami szpitala. Za chwilę wyszła i kazała mi opuścić stojącą grupę i udać się do baraku. Do dziś jestem głęboko przekonany, że ta wspaniała kobieta uratowała mi życie. Grupa, w której się znajdowałem wysłano w dalsze strony tego bezkresnego kraju, albo nad Peczorę za koło podbiegunowe lub w jakiś inne podobne miejsce, których w Rosji nie brak. Czy stamtąd bym wrócił, ktoś potrafiłby to przewidzieć. Już tego samego dnia pod wieczór wróciła cała przed wylewem ewakuowana "załoga" łagru. Baraki cuchnęły wilgocią, widać było ślady ich z zalania prawie pod sufit.

Z mocnego snu wyrwały nas strzały karabinowe, nikt kilkakrotnie powtórzono. Za chwilę, mimo głębokiej nocy wpadli do baraku strażnicy nakazując wyjście na dziedziniec. Zaczęło się wielokrotnie powtarzane liczenie. Zorientowaliśmy się, że ktoś korzystając z nadzwyczajnej nadwątłoności powodzą parkanu po jego wyłamaniu, mimo strzałów, uciekł. Przypomniałem sobie, że zbudziwszy się na odgłos strzałów, nie zauważyłem mojego sąsiada, który z wieczora ułożył się w moim pobliżu. Przyjrzałem mu się dość dokładnie. Był to rosły mężczyzna, brunet o bardzo mocnej, zdecydowanej twarzy. Zrobił na mnie jak najkorzystniejsze wrażenie, mimo woli skojarzyłem go z najbardziej typowymi Kozakami z Zaporozża, tak plastycznie opisanymi przez Sienkiewicza. Domyśliłem się, że był jednym z uciekinierów.

Rzeczywiście, o czym dowiedzieliśmy się nad ranem, cały czas stojąc na dziedzińcu, uciekło trzech więźniów. Brygadier i dwóch jego kolegów, z których jeden był "moim" Kozakiem. Wszyscy byliśmy niezmiernie ciekawi, czy ucieczka uda się tym trzem śmiałkom, z których jeden był z samego Hołotowa/ Permu/.

Minął tydzień i nie było żadnej wieści o uciekinierach. W ósmym dniu od ucieczki pokazano nam dwóch- brygadiera i jego młodszego znacznie towarzysza, chłopaka z pobliskiego miasta. Trzeciego /Kozzaka/ nie ujrzeliśmy już nigdy. Czy udało mu się uciec ~~but~~ nikt nam niczego nie potrafił powiedzieć. Dwaj sprowadzeni do łagru, oczywiście dodatkowo zasądzeni, wydani zostali w mieście, przez dzieci, które w pewnym mieszkaniu zauważyły nieznanym sobie ludzi. Zrozumieliśmy, że ucieczka nie ma szans powodzenia. Nigdzie bowiem i u nikogo nie można było liczyć na pomoc. Społeczeństwo rosyjskie tak było zgnębione stalinowskim terrorem, że znikły czyste ludzkie odruchy ~~współczucia~~ współczucia, a istniała tylko skrupulatnie realizowana konieczność niezwłocznego meldowania władzom o pojawieniu się podejrzanego człowieka. Było to o tyle zrozumiałe, że wśród zdecydowanej większości prostych ludzi istniało przekonanie, że jeśli ktoś został aresztowany to widocznie był winien. Czy chcieliśmy, czy nie, na każdym kroku stykaliśmy się z niszczącą siłą terroru, który na kształt morowego powietrza zatruewał klimat tego olbrzymiego kraju.

A nad ziemią uwolnioną od śniegu i mrozu roztoczyła swoje panowanie wiosna, szybko przechodząca w krótkotrwałe lato. I choć wyżywienie było nadal głodowe, dzięki słońcu życie stało się nieco lżejsze. Nadal chodziłem do pracy do "cech fermy" i nadal w każdej wolnej chwili czytałem. Przeczytałem z dużym zainteresowaniem A. Tolstoja "Woskresenie"/"Zmartwychwstanie"/ nie natrafiając na żadną ~~trudności~~ trudności językowe. Nie mogłem tego powiedzieć o "Wojnie i pokoju". Tam język był dla mnie dziwnie trudny i byłem zmuszony do zrezygnowania z czytania głównego dzieła Tolstoja. Książkę, którą czytałem,



nosiłem stale przy sobie, w uszytej specjalnie, płócienną torbie z pierwszej paczki opakowanej zgodnie z wymaganiami w płótno. Wychodząc za bramę łagru byliśmy wszyscy pobieżnie rewidowani. Oczywiście niezmiennie znajdowano u mnie książkę. Widziałem w oczach rewidującego zdumienie, gdy w torbie odkrywał książkę. Nie było jednak z tego powodu żadnego kłopotu i chyba jednak świadczyło, że poprzez grubą powłokę brutalności, bandytyzmu i chamstwa do najciemniejszej łepetyny wykonawcy rozkazów władz dotarła ~~sikx~~ iskierka swoistego szacunku dla książki. Czy tak było istotnie, nie wiem. W każdym razie ani razu nie spotkałem się z powodu książki na najmniejszą brutalność czy chamskie potraktowanie mojego zamknięcia, tak przecież rzadko spotykane- go w łagrze.

Kącik kulturalny, oświatowy prowadziła ruska blondyna, nawet ładna, w stopniu młodszego lejtnanta. Przyglądała mi się bardzo uważnie gdy zmieniałem książkę. Zauważyłem w jej spojrzeniu coś tak dziwnego, że gdyby to było w innych warunkach zapewne i ja zwróciłbym na nią uwagę. Byłem jednak zbyt przygnębiony i żadna kobieta nie robiła na mnie wrażenia. Wciąż miałem przed oczami moją żonę i to musiało mi wystarczyć. Moje obserwacje w stosunku do blond-młodszego lejtnanta w niedługim czasie w pełni się potwierdziły. Przyłapano ją in flagranti z pewnym młodym więźniem, niezwykle urodziwym chłopakiem. Po tym ~~incydencie~~ incydencie więcej jej już nie widziałem.

A w samym łagrze pętały się, choć w niewielkiej liczbie, tzw. kobiety wyległe chyba w najgorszych bagnach społecznych. Chybane stwory, odrażające swoim wyglądem i bardziej niż chamskim zachowaniem. Ale i one znajdowały adoratorów. Widziałem jak pewnego razu skojarzoną dorywczo parę wyrzucił strażnik z obrzydliwego, śmierdzącego, stojącego na uboczu klozetu. Pomyślałem wówczas

miłość nie wybiera miejsca, co w najmniejszym stopniu nie zmniejszyło mojego obrzydzenia.

W któryś z letnich dni /1946 r./ zabrano nas kilku i skierowano do pracy przy budującym się budynku na skraju Permu/Mołotowa/. Wspólnie z Zygmuntem Barszczem podnosiliśmy na drugie piętro cegły. Przyglądał się nam majster murarski, rumiany, zażywny, ubrany w szare robocze ubranie. W pewnym momencie spytał nas, a raczej stwierdził: wy chyba nie ruskie? Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy Polakami. Wówczas człowiek ten nie pytany przez nas o nie/świadomość, że można było trafić na pospolitego kapusia, była w nas mocno zapisa- na !/, zaczął nam mówić, że sam jest z Ukrainy i gdy nadcho- dzili Niemcy byliśmy pewni, że skończą się rządy komunistów i ich dygnitarstwo. " I smatritie - kończył - niczego nie wyszło. Gitler, eto był durak ! "

Wysłuchaliśmy tego wynurzenia, zdumiewając się faktem, jak bezskuteczna była tyluletnia propaganda komunistyczna. A już zupełnie nie rozumieliśmy słów majstra-Stachanowca !/!, gdy pod koniec pracy powiedział do nas, że udaje się zaraz do innej roboty, tak zresztą jak wszyscy dorośli z rodziny, bo z zarobku jednego rodzina się nie wyżywi i nie utrzyma. Na zrozumienie tego trzeba było jeszcze poczekać, co nastąpi- ło już w Polsce Ludowej !

Krótkie lato szybko zbliżało się do końca. W pierwszych dniach września zaczęły się chłody i zaczynał prószyć śnieg. Każdy dzień odchodzący w przeszłość przybliżał nas do nadcho- dzącej nieuchronnie zimy. W połowie września ziemia pokryta została białym puchem śnieżnym przykrywającym wiele pospoli- tej brzydoty. Z dnia na dzień spadała temperatura.

Niezmernie co dnia chodziłem jak wielu moich współtowarzyszy do tej samej niewolniczej pracy, choć na szczęście nie ciężkiej ale uciążliwej i wysysającej malejąco z każdym miesiącem siły. Jednostajność życia, bez jakiegokolwiek blasku, bez cienia nawet małej radości dusiła za gardło, kładąc się nieznosnym ciężarem na bijącym sercu. Nie mogłem pozbyć się myśli o bezmyślnym w gruncie rzeczy mijaniu czasu, który tak pożytecznie mógłbym spędzać, gdyby nie krzywda wyrządzona mi przez bezprawie, na którą nie miałem absolutnie wpływu. Musiałem trwać w oczekiwaniu, że któregoś dnia nastąpi kres niewoli i wrócę do normalnego życia. To stało się podstawową ideą, której musiałem być wierny jeśli chciałem przeżyć.

Swoistym urozmaiceniem jednostajnego życia, przy tym uciążliwego życia łagrowego - były łaźnie, zwane z ruska "baniami". Nie były one zbyt częste, chyba raz w miesiącu wyprowadzano nas, odpowiednio uformowanymi grupami, za zonę łagru, do budynku, w którym znajdowała się łaźnia. Każdy z nas po oddaniu, związanych sznurkiem naszych ubrań, do "paryłki" otrzymywał niewielki "łazik" / blaszany szafliczek / z zawartością około 5 litrów gorącej wody i ok. 2 dkg mydła. Trzeba się było umyć od stóp do głowy, i udać się do izby, do której wrzucano przez okienko nasze wyparzone ubrania. Jeśli były wszy to po wyjściu z "paryłki", nadal pozostawały nie uszkodzone, a chyba w ciepło z jakim się zetknęły nabierały jeszcze większego wigoru.

Podczas kąpieli, zazwyczaj poprzedzanej dokładnym goleniem wszystkich owłosionych miejsc na ciele i do tego diabelnie tępą brzytwą / była to istna tortura /, miałem okazję przyglądać się maksymalnie wychudzonym ludziom. Najcharakterystyczniejszą oznaką tego wychudzenia były głęboko wklęsłe pośladki i rysujące się wyraźnie żebra na klatce piersiowej.

"Wykąpani" i "odświeżeni" wracaliśmy do naszych baraków, rozpamiętując dbałość naszych dozorców o higienę i zdrowie łagrowych niewolników.

W życiu łagrowym też nie było żadnych sensacji. Dla mnie los uśmiechnął się po raz drugi, gdy po kilku miesiącach miłościwa otrzymałem znowu równie skromną, ale równie cenną jak poprzednia paczkę od moich rodziców. Paczka ta była ważnym zastrzykiem podtrzymującym moje siły i moje zdrowie. Byłem moim rodzicom niezmiernie wdzięczny, zdając sobie sprawę z jakim wysiłkiem połączone być musiało przygotowanie i wysłanie paczki. Choć były one w moim życiu łagrowym zjawiskiem bardzo rzadkim ich znaczenie było duże i nie ulegające wątpliwości.

Pewno poruszenie, zakłócające jednostajność życia łagrowego wywołało przetransportowanie do "naszego" obozu kilkunastu wyrostków, z których żaden chyba nie przekroczył dwudziestu lat. Przydzielono ich do brygady pewnego brygadiera, który lada dzień miał opuścić łagier odsłużwszy swój "srok"/wyrok/. W parę dni po przybyciu wyprowadzono młodych opryszków za bramę i zapędzono do budowy parkanu tuż nad Kamą. Ogrodzić mieli prawdopodobnie plac przeznaczony na jakieś składowisko desek lub pni płynących rzeką. Konwojent w pewnej przyzwolonej odległości od budującego się parkanu odmierzał z karabinem na ramieniu wciąż powtarzając się drogę. Część pracujących przybijala deski po zewnętrznej stronie parkanu, część znajdowała się wewnątrz placu.

W pewnym momencie któryś z pracujących zewnątrz zaczął wołać brygadiera. Ten nie spodziewając się żadnej zasadzki, ~~przeskakiując~~ <sup>kraczając</sup> nie obite jeszcze deskami poprzeczne łąty, pochylił się głowę wysuwając ją do przodu. I w tym momencie spadł na jego głowę straszliwy cios siekierą, kładąc go trupem na miejscu.

Wzywani strzałem konwojenta strażnicy zabrali młodych morderców, których szybko gdzieś wywieziono, a brygadierowi, w przededniu jego wyjścia na wolność urządzone wspn uroczysty pogrzeb. Cały przebieg zamordowania brygadiera opowiadał nam jego zastępca. Zastanawialiśmy się co mogło być powodem dokonanego mordu. Czy w ciągu kilku dni pobytu w brygadzie czymś zraził sobie brygadier młodych bandytów, nigdy już się nie dowiedzieliśmy.

Czas mijał bez jakichkolwiek zmian. Rano wymarsz do pracy, pod wieczór powrót do łagru i tak dzień po dniu, a w naszym położeniu nic się nie zmieniało. Od czasu do czasu tylko zabierano część mieszkańców łagru i wyprowadzano za bramy. ~~Przerze-~~Przerzedziła się znacznie dość liczna do niedawna grupa Polaków. Skończył się rok 1946 i zaczęliśmy rok 1947, a z nim trzeci rok naszej niewoli. W niezmiennym w niczym stanie rzeczy doczekaliśmy ponownie wiosny i początku lata. Przejściowa pora między wiosną i latem jest niezmiernie krótka, prawie niedostrzegalna.

Już w pierwsze dni czerwca byłem kilkakrotnie wyprowadzany poza łagier i miałem okazję obejrzeć miasto. Centrum zabudowane było ~~kilkupiętrowymi~~kilkupiętrowymi blokami, ale niedalekie przedmieścia to wyłącznie drewniane parterowe domki budowane z czarnych/ chyba je malowano ?/ belek, co w sumie robiło dość przykre wrażenie. Drogi na przedmieściach niebrukowane, nogi grzęzły nam w głębokim piachu. Koło domów z rzadka można było zauważyć niewielkie ogródki, częściej uwiązana przy płocie stała poczciwa koza, jedyna żywicielka wielu radzieckich obywateli. Na ulicach miasta nie spotkaliśmy nigdy ani psa ani kota. Wcale nie było to dla mnie niespodzianką, przecież żywe

stworzenia trzeba karmić, a to już zakrawałoby na luksus obcy mieszkańcom socjalistycznego mocarstwa ! W okolicach miasta wykonywaliśmy roboty wykopkowe, o tyle nie ciężkie, że kopanie piachu jest zawsze lżejsze niż gliny. Roboty te trwały kilka dni i znowu chodziłem do "cech-fermy". Nadchodziła jednak poważna zmiana w mojej więziennej wegetacji.

#### IV.

Okolo 15 czerwca /1947 r./ wraz z kilkudziesięcioma innymi więźniami wyprowadzono nas z łagru i poprowadzono w kierunku miasta. Maszerująca pod kowadłem kolumna więźniów przez nie bardzo ruchliwe ulice, nie budziła żadnego zainteresowania. Ludność tego zwykłego miasta / już w XIX wieku Pora znany był jako miejsce pobytu różnych więźniów/ obojętnie mijala maszerującą kolumnę. Obserwowałem nie tylko ludzi, uderzająco skromnie ubranych, ale i domy. W kilku z nich przez otwarte okna zauważyłem szafkę z książkami, na frontach większych kamienie czytałem napisy: "Instytut Pedagogiczny", "Instytut Techniczny" i kilka innych potwierdzających istnienie urzędów, jakichś spółdzielni itp. Przemaszerowaliśmy przez całe miasto dochodząc wreszcie na przystań rzeczną. Przy skromnym molo stał dość sporych rozmiarów rzeczny statek. Kazano nam wchodzić na jego pokład. Skierowano nas po schodach na samo dno, gdzie usiedliśmy na stępce i odchodzące od niej żebra. Mogła być godzina około 11.00. Za chwilę statek ruszył. Słychać było miarową, jednostajną pracę maszyn. Nie mieliśmy najmniejszej orientacji dokąd płyniemy ani jak długo potrwa nasza podróż. Po kilku godzinach zapadła na dnie statku czarna, smolista noc. Spanie nie było wygodne. Na twardej stępce, lub w jej równie twardym sąsiedztwie, tj. na ścianie

statku nocleg był ciężki i nie mógł przynieść potrzebnego wyczynku. Rankiem zbudzono nas przynosząc jakąś tam zupę i po kawałku chleba. Co ta zupa była warta ani wówczas, ani tym bardziej dziś nie potafię ocenić.

Maszyny wciąż jednakowo pracowały, z czego mieliśmy prawo sądzić, że statek płynie. Tylko dokąd  $\gamma$  było to nieodgadnioną zagadką. Wreszcie statek zatrzymał się i kazano nam wychodzić. Po wyjściu na powierzchnię stwierdziliśmy, że jest już czas popołudniowy. Płynęliśmy ponad całą dobę. Dzień był ciepły, słoneczny. Rozglądałem się po uiezuanej mi okolicy. To samo drzewa, które oglądałem w innym miejscu nad Kaną, ta sama ciemna rzeka i ta sama pustka, smutna, przejmująca i dzika. W pobliżu statku podjechały samochody, rozkazano wsiadać i gdy ustawiliśmy się blisko jeden obok drugiego padł rozkaz: "sadiś". Jak wyglądało to siedzenie nie trudno sobie wyobrazić. Siedzieliśmy skurczeni jeden drugiemu na nogach. Zawarczały motory i ruszyliśmy. Jazda była dość długa, bo mówiły nam to nasze ścierpnięte nogi. Wreszcie - samochody stanęły. Z trudem rozprostowując nogi obolałe kończyny zeskoczyliśmy na ziemię. Było jeszcze zupełnie jasno ale wyraźnie zbliżał się wieczór, słońce miało się ku zachodowi. Ustawwszy nas w kolumnę, nakazano marsz. Mogło nas być wszystkich około 70-80 ludzi. Podeszliśmy pod niski, przysadzisty dom rozkraczony tuż przy bramie, od której w lewo i w prawo biegła drewniana palisada okalająca jakiś większy plac. Przy bramie stało kilku wojskowych, zapewne enkawudystów, pomyślałem spojrzawszy na nich. Otworzono bramę i kazano nam wchodzić. Zdążyłem przyjrzeć się całej grupie, z którą przyszedłem. Nie było nikogo ze znajomych, ani jednego Polaka, sami Ukraińcy i Rosjanie. Tuż za bramą stała dość spora gromadka - jak nie trudno było się domyśleć więźniów, z dużym zaciekawieniem

nas obserwujących.

Rozglądałem się w lewo i w prawo. Tuż za odrutowaną zoną, równoległe do niej stał jeden barak, za nim drugi i trzeci. Wśrodku wielkiego placu jeszcze jeden niewielki budynek - jak się ~~potem~~ ~~strasznie~~ przekonałem - latryna, na prawo wskos od niej duży barak, od niego w pewnej odległości nieco mniejszy budynek /stołówka, o czym się niebawem przekonaliśmy/ i niedaleko budynku przybramnego, ale wewnątrz ogrodzonego placu jeszcze jeden niewielki ~~budynku~~ dom, mieszczący kancelarię i biuro całego łagru. Na narożach dużego ogrodzonego wspomnianą palisadą placu wieżyczki strażnicze.

Wszystkie budynki różniły się znacznie od znanych mi dotychczas. Uderzała ich jakaś krępa budowa i ledwie widoczne okna. Ściany robiły wrażenie grubo obłożonych gliną.

Dopiero w kilka miesięcy później oceniłem całą wartość tych w gruncie rzeczy pokracznych zabudowań. Były nadzwyczajnie ciepłe. Przybyłych rozparcebowano po poszczególnych barakach. Wewnątrz na całe umebłowanie składały się piętrowe prycze jako miejsca do spania, na których leżały postrzępione szmaty imitujące swoimi resztkami kołdry. Zająłem miejsce na górze i wyciągnąłem się w miarę wygodnie. Opadł mnie rój niewesołych myśli. Nie widziałem <sup>niekąd</sup> ~~odwrotnego~~ zostałem przywieziony, a fakt, że nie było w moim pobliżu ani jednego Polaka jeszcze utrudniał zorientowanie się w nowopowstałej sytuacji.

Po spożyciu zupy, gorącej ciemnej cieczy/rozbejtanej ciemnej maki/ i kawałka chleba wróciłem na moje legowisko. Usnąłem szybko.

Zbudził mnie głośny krzyk. Pietia, wory, wory !/Piotrze, złodzieje, złodzieje !/. Zauważyłem jak z ~~prz~~ jednego z dalszych



prycz zerwał się wysoki mężczyzna i zanim cokolwiek się stało usłyszałem trzask wyłamywanej deski z pryzy. Z deską w ręku w drugi kąt baraku pobiegł rozwścieczony Pietia. Zaczął w okrutny sposób łomotać po łbach i rękach zgrupowanych <sup>na</sup> w dwóch chyba pry- czach złodziei. Rozległy się krzyki- Pietia ~~nie~~ nie bij, my nie znali. Okradli kolegę Pieti. Po solidnym zbieciu złodziejaszek rozgrzany Pietia zaczął chodzić wzdłuż pryzy, co chwilę wypluwa- jąc z siebie : "job waszu mat", dusza won". Patrzyłem na to - barak był jak zawsze oświetlony - i zauważyłem w ręku maszerującego, podnieconego Pieti ogromny nóż. Po bójce i uspokojeniu się ponownie usnąłem. Na całe moje szczęście mój wspaniały organizm nie zawiódł mnie dotąd ani razu, spałem nie wiedząc kiedy minęła noc, tak dramatycznie przerwana. Zbudziły nas wrzaski " podjom", a za chwilę " wychodicie na zawtrak" / wychodzić na śniadanie/. Na śniadanie było około  $3/4$  litra ciemnej zabełtuchy zwanej po polsku "bałan- <sup>(a petyn)</sup> dą", dalsze krzyki i wołania przy ustawianiu nas w kolumnę przy bramie. Po brańce narzędzi - siekier i pił /zwanych "łuczak" brzeszczot piłki objęty kablakiem z rękojeścią z prawej strony/ i marsz w kierunku niedaleko od palisady rozciągającego się lasu. Zadanie jakie otrzymaliśmy polegało na wyrąbaniu niemal do czysta szerokiego na jakieś dwadzieścia metrów pasa, mającego stanowić w najbliższej przyszłości ~~cał~~ "zapretną zonię" ochraniającą olbrzymi szmat lasu, który pod ochroną strażników rozstawionych na wieży- czkach zbudowanych w świeżo wyciętej "zonie" miał być systematycz- nie trzebiony. W czasie oczyszczania wyznaczonego pasa, bardzo często sprawdzano, czy ktoś nie skorzystał z możliwości zaszycia się w las i nie uciekł. Po którymś tam sprawdzeniu ~~nie~~ zauważono brak jednego więźnia. Strażnik towarzyszący naszej pracy oddał dwa strzały w powietrze, a za kilka minut przybiegli dwaj inni

strażnicy z psem. Wskazali mu kierunek poszukiwań i popędzili w lewo. Pódbującym ucieczki był jakiś młody chłopak pochodzący z najbliższej okolicy. Byłem niezmiernie ciekawy czy uda mu się ucieczka, bo przecież był między swoimi ludźmi.

Pod wieczór wracając z pracy, wcale nie lekkiej, uwzględniając prymitywne narzędzia jakimi byliśmy zmuszeni się posługiwać. Żadnej piły motorowej, wszystko miały wykonać mięśnie więźniów. Owszem, piłę motorową zobaczyłem dopiero o wiele później, gdy już po powrocie poszedłem z żoną na jakiś film radziecki, w którym piła warczała ułatwiając pracę. Nie wytrzymałem wówczas i głośno się roześmiałem.

Dochodząc do bramy i składając skrupulatnie liczone, pobrane rano narzędzia, zauważyliśmy stojącego chłopaka, mógł mieć najwyżej 17 lat, ale w jakimże żalonym stanie. Poszarpane przez psa ubranie wiszące w strzępach odsłaniało zakrwawione rany. Tak skończyła się ucieczka jednego z najmłodszych więźniów, którego już następnego dnia odtransportowano do innego jakiegoś miejsca odosobnienia.

W ciągu następnych dni zorientowałem się zasięgnąwszy informacji od Ukraińców przebywających w tym łagrze już od dość dawna, że jestem w tajdze poduralskiej <sup>około</sup> ~~ok. 200~~ 200 km na północ od Mołotowa / Permu/. Taką poważną trasę pokonał w ciągu nieco więcej niż doby płynący w górę Kamy statek, z którego wylądowano nas kilkadziesiąt kilometrów od rzeki i przywieziono samochodami do łagru. Okolice była zupełnie dzika i bezludna. Kilka domów przytulonych prawie do palisady łagru stanowiło osiedle, w którym mieszkali strażnicy wraz ze swoim naczelnikiem. W niedalekiej odległości od łagru rozpościerała się potężna tajga. Wspaniały las, którego ogromu nie można nawet porównywać z żadnym polskim a może europejskim lasem. Choć w mojej ciężkiej sytuacji daleki byłem od zachwy-

tów nad pięknem dzikiej przyrody, nie mogłem nie widzieć urzekającego uroku wspaniałej roślinności ściśle związanej z wysokopiennym lasem. Intensywne kolory dzikich kwiatów były w oczym swoim pierwotnym pięknem. Codziennie od rana do późnego popołudnia przebywaliśmy w tajdze, wyрубując wszystko co było przed nami.

Tajga na ogół sucha, odsłaniała niekiedy swe większe lub mniejsze obszary podmokłe a nawet bagniste, przez które przepływały leniwie toczące wody strumienie. Wyręb w takich okolicach należał do wyjątkowo uciążliwych. Nie tylko woda lub rozkiszłe błoto pod nogami czyniły pracę niekończącą się męką, ale co gorsza nieprawdopodobne roje drobniutkich muszek wdzierających się do nosa i do oczu powodowały tak potworną udrekę, że napróżno siliłbym się na jej określenie. Mimo dostaw rozczanych nam siatek ochronnych na twarze, nie doznaliśmy żadnej ulgi, bo natrętne muszki łatwo przenikały przez siatkę i dalej maltretowały wszystkich przebywających na podmokłych terenach.

Po kilku na szczęście dniach wyręb przesunął się na suchsze tereny i skończyła się wówczas nieludzka męka, która długo prześladowała nas swym koszmarnym wspomnieniem. Ale i w tej niezwykle ciężkiej pracy, niszczącej człowieka w okrutny i bezlitosny sposób, miałem troszkę szczęścia. W organizowanych brygadach wychodzących codziennie w tajgę wydzielono brygady "lesopowalów" / tych, którzy walili drzewa, podrębując potężny pień, a następnie podpiłowując go łuczkiem / i brygady budujące drogi do przewidywanego wywozu odpowiednio pociętych pni. Dostałem się do brygady budującej drogę, a moim brygadzierem był zruszczony, chyba potomek dawnych zesłańców, Wysocki.

Swoją postawą i stosunkiem do podlegających mu ludzi znacznie różnił się od brygadierów ruskich w bestialski niekiedy sposób eksploatujących swoich "podopiecznych".

Budowa drogi latem polegała na położeniu "szyn" drewnianych, mniej więcej grubości naszych słupów telegraficznych, oddalonych od siebie na szerokość wózka ciągniętego przez konia przy wywozie zwalonych pni. Wózek miał koła, które swoimi wgłębieniami wchodziły na "szyny", i lekko toczyły się po gładko odrobionych imitujących szyny słupach. Leżące słupy łączono ze sobą wyrębując odpowiednie przy zakończeniu wgłębienia, do którego wkładano drugi słup łącząc je przy pomocy grubego kołka wbijanego w wywiercony świdrem otwór. Dla zachowania elastyczności tak budowanego toru podkładano pod leżące na ziemi słupy odpowiednią ilość grubszych lub cieńszych drągów, spełniających rolę dobrze nam znanych w kolejnictwie podkładów.

Nie była to dziecinnie łatwa praca, jakby się mogło wydawać. Noszenie na barkach odpowiednio wyszukiwanych słupów i to czasami na dłuższe odległości, było połączone z niemałym wysiłkiem. Mimo wszystko jednak była to praca lżejsza niż ścinanie drzew.

A walenie drzew to była praca nie tylko wyniszczająca w bezlitosny sposób siły człowieka, ale i niebezpieczna. Wprawdzie przed upadkiem ścinanego drzewa, krzyczano, dla ostrzeżenia: "bojsia"/ tyle co uwaga: "bój się !"/, ale i to nie zawsze pozwalało uniknąć niebezpieczeństwa.

Pamiętam, gdy zimą runęło na siedzących przy ognisku kilku ruskich więźniów, którym wydawało się, że siedzą w bezpiecznej odległości do mającego się zawalić drzewa. Źle obliczyli i spadające drzewo samym końcem uderzyło dwóch siedzących.

Skutki były straszne, jednego rozbiło niemal doszczętnie,

drugiego ciężko rannego zabrano niobawem do łagru. Czy przeżył swoją pewną lekkomyślność, nie wiem. Nikt nigdy na ten temat nie odezwał się ani jednym słowem. Było to zgodne z wyznawaną zasadą "ludziej u nas chwatit, podochniesz, niczewo nie budiet" / ludzi u nas dużo, zdechniesz, nie się nie stanie /.

Innym razem byłem świadkiem jak pod spadające drzewo dostał się pewien Ukraińiec. Miał o tyle szczęście, że znalazł się wśród gałęzi środkowych drzewa i to go uratowało. Wyszedł poturbowany ale na szczęście swoje przeżył - moment nieuwagi. Wciąż trzeba było mieć oczy i uszy otwarte, aby nie stracić zdrowia lub życia.

Osobnym rozdziałem był wywóz pni leżących po obu stronach zbudowanej drogi. Trudniły się tym odrębne brygady składające się z najsilniejszych fizycznie więźniów. Odpowiednio przygotowanymi drążkami podważali ~~kwieć~~ leżące zwałiste niekiedy pnie i ~~na~~ spychali je na wózek. Praca tych ludzi wprawiła mnie w ~~sz~~ zdumienie, byli więźniami, niewolnikami, ale zupełnie nie pomni na swoją sytuację harowali w tempie wręcz nieludzkim. Patrzyłem na nich i nie mogłem nie powiedzieć sobie, jakież to niewolniczy naród ci Rosjanie. W ich szaleńczej pracy nie widać było najmniejszego protestu przeciwko bezprawiu, którego byli ofiarami. Wywożone z tajgi pnie kierowano do niedaleko biegnącej kolejki wąskotorowej, skąd je odtransportowano do ośrodków przemysłowych.

Krótkie lato uralskie szybko przeleciało. Niemalą trudnością występującą już w lecie była niemal codziennie wydłużająca się droga na ~~niejsee~~ pracy. Wyrąb postępował i coraz głębiej wżerał się w nieogarniętą okiem tajgę, oddalając się coraz dalej od łagru. A droga po wykrotach leśnych, po ster-

czących po ściętych drzewach przyziewanych korzeniach była drogą zżerającą siły w sposób bezlitosny. Czulem coraz się zwiększające osłabienie, nogi po prostu już nie chodziły tak sprawnie jak dotąd. Z niepokojem oczekiwałem na nieubłaganie zbliżającą się zimę.

A tymczasem życie w łagrze toczyło się niezmienną koleją, przerażającym podobieństwem dni, które odchodziły w przeszłość. Pewnego razu, nie wiem czym powodowany, w obecności ruskich i Ukraińców, zaśpiewałem jakąś pieśń, chyba nawet z "Zaporożca za Dunajem". Moi słuchacze byli wręcz zaszokowani głosem, który usłyszeli. Tak się akuratnie złożyło, że w łagrze zorganizowano kult-brygadę, której zadaniem ~~było~~ miało być przygotowanie koncertów, na których dość rzadko przyznawanych nam wolnych od pracy dni. Takich dni było najwyżej dwa w miesiącu. Ktoś z moich słuchaczy nie zapomniał o mnie i wpisano mnie do kult-brygady. Miałem cichą nadzieję, że może zwolni nas od czasu do czasu od pracy. Nadzieje te szybko prysły. Przygotowanie swoją drogą, a praca w tajdze swoją. Wycofać się już jednak nie mogłem. Z pomocą jednego z więźniów grającego na akordeonie / rosyjskiej harmoniszce !/ przygotowałem kilka pieśni ukraińskich, które miałem śpiewać. Inauguracyjny koncert w naszym łagrze, wypadł imponująco. Postanowiono, że <sup>z</sup>(naszym) repertuarem udamy się do niedaleko położonego łagru żeńskiego. Kilkuosobowa grupa, z dwoma dodatkowymi buhajami, jak ich sobie określiłem, gdy patrzyłem na dwóch "pryduzków" idących z nami, wiedziałem po co idą do żeńskiego łagru. Po paru kilometrach drogi wzdłuż kolejki wąskotorowej stanęliśmy przed bramą żeńskiego łagru. Po otwarciu bramy zarówno członkowie kult-brygady jak i towarzyszący im "pryduki" / uprzywilejowany więzień, przowaźnie

zbój - rezydent w rządzący się w łagrze jak pan w folwarku/ błyskawicznie rozbiegli się po kobiecych barakach. Pozostałem sam i usiadłem na otwartym ganku, jak się okazało, przed drzwiami kuchni, oczekując na moich współuczestniczących w koncercie członków brygady. Otworzyły się drzwi i stanęła przede mną młoda dziewczyna pytając, dlaczego nie idę do żony. Wypatrzyłem się na nią nie rozumiejąc początkowo o co jej chodzi. Odpowiedziałem, że moja żona żyje bardzo daleko stąd i nie wiem kiedy się z nią zobaczę. Na to z kolei ona, że miała na myśli żonę tutaj. Uśmiechnąłem się i powiedziałem jej, że takiej żony nie chcę. Zadowolona się moją odpowiedzią i zapytała z kolei - ty pewnie głodny, zjadłbyś coś? Oczywiście - odpowiedziałem. Przyniosła mi za chwilę pełną cynową miskę gęsto zagotowanej maki. Błyskawicznie miska była pusta, przyniosła drugą, również ją sprzątnąłem, ale trzeciej zjadłem już tylko połowę, byłem przepelniony po brzegi.

Koncert się udał, zebrałem gromkie brawa i ruszyliśmy w drogę powrotną, ~~wprowadz~~ oczywiście w asyście dwóch konwojantów, którzy też odwiedzili swoje przygodne żony. Jakby w nagrodę za udział w kult-brygadzie ówczesny kucharz Lotysz, wysoki chłopisko z niezwykle wydatnym nosem, kazał mi przychodzić po dodatkową porcję wieczornej zupy lub czasem nawet kaszy, która zjawiała się zresztą bardzo rzadko. Pomogło mi to dość wydatnie w podreperowaniu nadwątlnych sił. Paczki od rodziców nie otrzymywałem już od kilku miesięcy, mimo, że od chwili zainstalowania się w nowym łagrze napisałem kartkę podając mój nowy adres. O żonie i teściach nie miałem żadnej absolutnie wiadomości, moi rodzice również nie wiedzieli dokąd wyjechała moja żona i gdzie się zatrzymała.

Nadzieje na paczkę ziściły się gdzieś pod koniec sierpnia lub z początkiem września/1947 r./. Otrzymałem kilkukilogramowy zastrzyk tłuszczu, suszonego chleba, mąki i kaszy. Uważałem za stosowne odpowiednio ugościć, jak to w łagrze nazywano, mojego brygadiera, resztę rozkładając sobie na możliwie dłuższy czas. Przekonałem się niedługo jak dobrze zrobiłem, dzieląc się swoją paczką z brygadierem. Szybkimi krokami nadchodziła zima. Zanim jednak świat pokryła śnieżna pokrywa, przeżyłem <sup>w/</sup> swoisty sposób nieprzypadkowy przypadek, chyba bez precedensu w skali międzynarodowej. Pewnego dnia, przed wyjściem jeszcze na roboty zauważyłem chodzących po łagrze kilku strażników, wyraźnie czegoś szukających. Poszukiwali, jak za kilkanaście minut przekonaliśmy się, jednego z więźniów, który miał być zwolniony. Znalezione go wreszcie zaszytego między belki na strychu jednego z baraków. Jak się tam dostał nie wiem, dostępu na strychu nie było. Wyciągniętemu ~~sz~~ ze schowka mówią - przecież wychodzisz na "swobodę". Odpowiedź tego biedaka była zaskakująca i wręcz nieprawdopodobna. "Ja nie chcę stąd iść, tu mam przynajmniej zupę i kawałek chleba, a jak wyjdę to i tego nie będę mieć".

Zastanowiła mnie postawa tego człowieka, choć właściwie po dwu i półrocznym doświadczeniu nie już nie powinno mnie było dziwić w tym najdziwniejszym chyba ze wszystkich krajów świata.

Zima zbliżała się nieuchronnie. Już w pierwszych dniach września zaczął padać śnieg i robiło się coraz chłodniej. Zaczęto w brygadach wydawać zimową odzież, watowaną czapki /"uszanki"/, kufajki / krótkie watowane kurtki/, watowane spodnie no i nieodzowne walanki/ wołokowe buty/. Do tego wszystkiego otrzymałem od brygadiera, który potraktował mnie z wyjątkową dbałością buszlat /watowaną dłuższą od kufajki kurtkę/. Mogłem ze spokojem oczekiwać nawet na ostrą zimą, bo oprócz wymienionych "zabezpie-



czeń " przed zimnem miałem na sobie normalną bieliznę, swetr i bluzkę/ gimnasiorkę/. Tak obciążony wychodziłem na robotę. Temperatura z każdym dniem spadała, od czasu do czasu tylko jej spadek hamowały dni cieplejsze, nawet z deszczem.

W listopadzie/ 1947 r./ zaatakowany zostałem przez wyjątkowo złośliwą gwitaminozę. Zaczęły mi się tworzyć na prawej stronie ciała bolesnie nabierające czyraki. Na przedramieniu prawej ręki czyrak doskwierał mi od listopada do marca ! Na plecach z prawej strony, tuż nad łopatką utworzył mi się olbrzymi wrzód przeszkadzający w ubraniu koszuli, swetra. Zgłosiłem się z moją nową biedą do łagorowego lekarza /"wracza"/, popatrzył i powiedział to co w moim przypadku było jedynie słuszne do stwierdzenia. "Trzeba mu dać lepiej jeść, to wszystko". Wypisał mi parę dni zwolnienia od pracy, na szczęście respektowanego przez naczalstwo. Bez względu na moje cierpienia, dokuczające mi naraz kilka czyraków na biodrze, a nawet na wierzchu dłoni, stałem się przedmiotem zazdrości moich współtowarzyszy z brygady, z racji uzyskanego kilkudniowego zwolnienia z pracy. Pytali, jak ja to robię, że mam te czyraki i wierzyć nie chcieli, że dzieje się to zupełnie niezależnie od mojej woli. Zwolnienia się kończyły, musiałem wychodzić do pracy. Jak ta praca wyglądała, ohyba nie muszę mówić. Z trudem wkładałem ręką, z której wciąż sączyła się materia z niezagojonego czyraka. Wracalem do lekarza, ponownie otrzymywałem okresowe zwolnienie z pracy. Kręciłem się po łagrze, spałem, a pod wieczór szedłem z tacą po chleb dla całej brygady, do chlebobrezki w jednym z baraków. Było mi miło, gdy powracający z roboty głodni i przemarznięci z radością chwyтали oczekujący na nich chleb.

W tym ciężkim położeniu nadeszła wreszcie długo oczekiwana paczka od rodziców. Jej zawartość taka jak wszystkie dotychczasowe, wiele mi pomogła. Czyraczność zaczęła powoli ustępo-

wać, poza dwoma wyjątkowo złośliwymi, na przedramieniu prawej ręki, i nad prawą łopatką. Do podziału zawartości mojej paczki zgłosiło się dwóch czołowych "pryduków" łagrowych: Chozin i Rużiow, żądając "sała". Odpowiedziałem im, że sała nie dostałem, a sprawdzić nie mogli, bo więzienie funkcjonowało dobrze strzeżony schowek, do którego klucz miał specjalnie wyznaczony, starszy wiekiem więzień, strzegący złożonych tam paczek. Trzeba bowiem pamiętać, że niektórzy Ukraińcy otrzymywali nader obfite i bogate paczki, a trzymanie ich w baraku mieszkalnym równałoby się ich błyskawicznej stracie. Byłem raz świadkiem jak w baraku kilku bandziorów żądało od pewnego Ukraińca ugoszczenia, a gdy on wyraźnie nie miał na to ochoty, rzucili go na podłogę i zaczęli deptać po nim w nielitościwy sposób. Ryczał w niebogłosy, mając zapewne nadzieję, że ktoś ze straży obozowej usłyszy i położy kres znęcaniu się nad maltretowanym człowiekiem. Nikt się nie zjawił. Wewnątrz łagru rządzą bezapelacyjnie pospolici zbóje i trzeba było ostrożnie chodzić koło nich by ni stąd ni z owąd nie oberwać. Trzeba było mieć dobrze otwarte oczy i uszy. W żadnych <sup>od</sup> ~~na~~ czasie do czasu rozgrywających się bójkach -mafijne porachunki - nie widziałem interweniujących strażników. Nie zachodzili do łagru poza wyłącznie budzeniem i wypędzaniem na "zawtrak"/śniadanie/.

Wspomniani wyżej Chozin i Rużiow nie otrzymawszy ode mnie żadnego gościńca / zdawałem sobie sprawę z ryzyka powstałej sytuacji/ odchodząc pogrozili mi: "my tobie dadim sała, uwidisz" / my ci damy tłuszczu, zobaczysz"/. W czasie pracy, gdy opowiedziałem o tym wszystkiemu mojemu brygadierowi, kilka razy ostrzegł mnie przed idącym <sup>przez las</sup> w ~~łagru~~ Chozinem, wołając "Chowaj się, Chozin idzie". Znikłem za jakimś krzakiem, a gdy Chozin przeszedł wychodziłem. Drugi z oprychów Rużniow dopadł mnie pewnego razu przy robocie drogi zimowej, polegającej na kopaniu w głębokim do pasa śniegu tunelu, którym posuwać się miały naładowane sanki. Pod noga-

mi śnieg ubijany, błyskawicznie twardniał na beton. Ruźniow nadszedł w towarzystwie naczalstwa, które lustrowało przebieg pracy. Nicostrożnie znalazłem się koło niego, ten bez namysłu huknął mi pięścią w głowę mówiąc: " smatri, odielsia kak miedwieď i przyjšzol na robotu"/patrz, ubrał się jak niedźwiedź i przyszedł do roboty". O ptasim nóżdźku bandzior ani przez sekundę nie mógł pomyśleć, że ja wcale nie przyszedłem do sowieckiego raju na robotę, a jestem ofiarą najpospolitszego bezprawia państwowego. Podniosłem się ze śniegu i odszedłem na stronę. Stało się to na oczach naczalstwa, które zupełnie nie zareagowało na postępek swego pupila. Ruźniow należał bowiem do stachanowców, przy wywózce drzewa z tajgi!

Innym razem byłem świadkiem jak Chozin, który z ogromnym kociołkiem przechodził poza wszelką kolejnością do kucharza po " balandę", a ten musiał mu nalać pełny kociołek, natknął się na samego naczelnika stojącego koło kotła, i który rozkazał Chozinowi odejść. Chozin zareagował zupełnie nieprawdopodobnie. Zaczął najordynarniej w świecie rugać naczelnika, popisując się niezwykłą pod tym względem soczystością języka rosyjskiego.

Naczelnik z dziwnym spokojem wysłuchał szalejącego Chozina i po pewnym czasie wyszedł. Wrócił niebawem w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników, którzy uspokojonego już Chozina zabrali do karceru. Zjawił się w łagrze chyba po tygodniu, zniszerowany i znacznie pokorniejszy niż był dotąd.

Dane mi było przeżyć sytuację, która tylko dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności nie zakończyła się dla mnie trwałym kłax kalectwem. Zima była w całej pełni i w całej swej krasie w tajdze. Miałem okazję podziwiać piękno tych potężnych lasów w lecie. Teraz obserwowałam niepojęty wprost urok pełen utajonych grózb, ale i spokoju zarazem w zimie. ~~W~~ Uginające

się pod ciężarem śniegu gałęzie jodeł, od czasu do czasu zsypujące się srebrnym pyłem pod podmuchami nawet lekkiego wiatru czyniły z ogromnego lasu przepiękną świątynię w jakimś niespotykanym stylu zbudowaną. Z gatunków najczęściej spotykanych drzew zauważyć można było potężnych rozmiarów jodły oraz pichty, jak nazywali ruscy gatunek iglastego drzewa o szarosrebrzystej koroce, Tu i ówdzie królował nad wszystkimi innymi gatunkami wspaniały cedr, z niezwykle smaczными orzeszkami. Tajga swym surowym, a przy tym mroźnym pięknem rwała wprost oczy. Gorzej, że do tego pięknego lasu droga pod koniec zimy dochodziła chyba do 5 km. Marsz po nieudeptanym śniegu, spod którego wystawały pnie i korzenie czynił domarsz do miejsca pracy istną Golgotą. Tym bardziej, że moje dotąd sprawne nogi zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa. Zacząłem się męczyć zanim doszedłszy do celu mogłem odetchnąć przy rozłożonym ognisku. Pierwszą bowiem sprawą po dojściu na miejsce pracy było rozpalenie ogniska. Suchego drewna było w bród, ale cóż- grzejąc zziębnięte ręce nad płomieniem wysoko strzelającym, odczuwało się kłuszące zimno w plecy, mimo najlepszego ubrania, jakie w moich warunkach można było posiadać.

Ruch na mrozie trochę pomagał pobudzając do żywszego krążenia krwi. Dopaliśmy tunele w śniegu, którymi wywożono ścięte bezustannie potężne drzewa. Pewnego dnia ugniatając nogami śnieg natrafiliśmy na teren nie zamarzający. Nie było sposobu ~~utnie~~ utwardzić śnieg, co dotychczas świetnie się udawało. Mimo dużych wysiłków śnieg pod nogami wciąż był miękki i podejrzanie ~~xxx~~ się ugiął. Nadjechały sanie załadowane wysoko. Koń stąpnął w miękki śnieg i zapadł się prawie po ~~brzech~~.brzech. Nadbiegł rozświeczony jak ranny odyniec brygadier "konowozyczków" i ryknął " job wasza mat' ; jak stroite dorogu", porwał drewnianą

konowozyczków

łopatę, a że na moje nieszczęście byłem najbliżej grzmotnął mnie w moją prawą łopatkę. Gruba, u samej ~~na~~ nasady łopata pękła na moim grzbiecie, jak sucha zapalka. Runąłem jak gromem rażony w śnieg, a brygadier wymierzyszy sprawiedliwość zajął się wydobyciem z zapaści konia. Leżąc zacząłem ruszać prawym ramieniem będąc przekonany, że mam chyba złamaną łopatkę. Ruszałem coraz mocniej ramieniem i nie odczułem żadnego bólu. Na moje szczęście niedłwiedzie ubranie uchroniło mnie od zgruchotania kości.

Na drugi dzień tuż przed wyjściem z łagru, gdy zauważyłem naczelnika podszedłem do niego i wskazując na stojącego w pobliżu brygadiera / tego, który zdzielił mnie łopatą / powiedziałem: "brażdanin naczelnik ~~etot~~ brygadier mnie wczera pobił ni za szto" / panie naczelniku, ten brygadier pobił mnie wczoraj za nic/. Naczelnik spojrział na mnie jak na jakiegoś płaza i wyrzekł z naciskiem jedno krótkie zdanie: " idi ty na chuj". Przez całą dalszą drogę zastanawiałem się nad chamstwem naczelnika, zapewne niedawnego więźnia siedzącego w łagrze na przykład za rozbój lub gwałt. Oczywiście dana mi odprawa na trwale utkwiała mi w umyśle i aż nieraz sam sobie się dziwiłem, ~~bo~~ co mi przyszło do głowy występować ze skargą. Wciąż nie mogłem zmieścić się w świecie, w którym już tak długo tkwiłem, że jest to świat upadłych ludzi, zranionych i zgnitych, na wskroś przeżartych niewyobrażalnym chamstwem.

Całym sekretem dalszego mojego postępowania było skrzętne unikanie spotkań ze zwariowanymi brygadierami o duszach najpodlejszych niewólników. Przeżyłem jednak wkrótce nieco satysfakcji. Po otrzymaniu następczej paczki, patrząc i oczom nie wierząc, zbliża się do mnie ów brygadier i jakby nigdy nie zwraca się do mnie z pewną prośbą o ugoszczenie go. Odpowiedziałem mu na to;

" ty do mnie po ugoszczeniu, a już zapomniałeś jak na moich plecach złamałeś łopatę ?" Zmieszał się wyraźnie i nic nie mówiąc odszedł ode mnie. Doszedłem do wniosku, chyba słusznego, że ten człowiek jeszcze nie uległ pełnemu zezwierzęczeniu.

Zima poduralska surowa i ostra, nie dziwnego, klimat kontynentalny, była naogół bezwietrzna. Raz tylko przyszło nam w powrotnej drodze z tajgi przeżyć o niesłychanej sile burzę śnieżną. Gdy tylko wychyliliśmy się z lasu porwał nas huraganowy wichur, miotając w twarze całe chmury pędzącego śniegu. Dęch zapierało w piersiach, od czasu do czasu trzeba się było odwracać plecami do wiatru dla złapania tchu. Szyk maszerujących zmieszał się z konwojentami. Szliśmy więdzeni iście zwierzęcymi instynktami, byle prędzej znaleźć się pod dachem. Powrót oczywiście trwał nieporównanie dłużej niż zawsze. Z jaką przyjemnością dobrnęliśmy do baraków, w których było ciepło i cicho. Potężny żelazny piec rozpalony do czerwoności promieniował wspaniałym ciepłem na całą izbę. Nawet w tak prymitywnych warunkach bytowania, groźna przyroda dała nam lekcję, w wyniku której doceniliśmy w pełni wartość ciepłej izby.

Minęła połowa maja, słońce było coraz cieplejsze, śnieg zaczynał znikać, zbliżała się krótka poduralska wiosna. Któregoś dnia lunął potężny deszcz wypłukując resztki śniegu z załomów i zakamarków leśnych. Moi współtowarzysze chroniąc się pod gałęzie drzew, wkrótce byli złani od stóp do głów. Ja szukając schronienia przed strugami lejącej się wody, przypadkowo odkryłem wypróchniałe drzewo, do którego bez trudu wszedłem i mogłem spokojnie oczekiwać ustania ulewy.

Gdy ~~xxx~~ wreszcie ~~xxx~~ zgromadziliśmy się wszyscy stałem się przedmiotem zazdrości. Na nich nie było suchej nitki, ja natomiast byłem suchy, jakby nie padał deszcz. Nikt jednak

nie zachorował, ani nawet nie dostał kataru. Innym razem gdy złapał nas w drodze powrotnej deszcz i gdy nie mogło być mowy o szukaniu schronienia, przyszliśmy zupełnie przemoczeni w nasiąkniętych wodą walonkach i watowankach. Nic się również nikomu nie stało, nikt nie uległ przeziębieniu.

Pomijając pewne ~~zakablowanie~~ <sup>zaburzenie</sup> w warunkach, w których żyliśmy, na stan naszego zdrowia błogosławiony wpływ miał tamtejszy klimat. Przez cały czas pobytu w permskiej oblasti, ani razu nie przeżyaliśmy ataku jakiegokolwiek epidemii, mimo, iż nieodstępny towarzyszkami naszymi były wszy i pluskwy. Choć co pewien czas prowadzono nas ~~na~~ tuż za łagier, do osiedlowej "bani"/ łaźni/ gdzie odwszalnia pracowała pełną parą, niewielkie były tego rezultaty. Otrzymywaliśmy śmierzące nasze ubrania, a wszy były nadal !

Pewnego razu, któryś ze strażników pytał kto ~~ma~~ umie grać w szachy. Zgłosiłem się i zaczęliśmy grać w budynku przy wejściowej bramie. Okazało się, że amator gry szachowej był słabym szachistą. Gładko i bezboleśnie rozprawiłem się z nim w kilku partiach. Zauważyłem, że nie był zadowolony. Kazał mi odejść i więcej <sup>już</sup> niż nigdy seansu szachowego nie powtórzył. Wracalem do baraku pełen wewnętrznego chichotu, że sprawiłem mu lanie. Przyznam się, że byłem zadowolony.

W jednym z dni krótkiej wiosny zostałem zwolniony od wyjścia do pracy. Zgłosiłem się do lekarza, bo z niepokojem zauważyłem bardzo poważne <sup>u</sup>wpuchnięcie nóg z brz<sup>u</sup>chem <sup>u</sup>włącznie. Lek<sup>u</sup>rz zapisał mi jakiś lek<sup>u</sup> i zostałem w baraku. W pewnym momencie wyszedłem na powietrze, zbliżyłem się do "zap<sup>u</sup>rotn<sup>u</sup>ej zony", w pobliżu wejściowej bramy i patrzyłem przez <sup>p</sup>spary w palisadzie, pale nie pasowały dokładnie do siebie, z najwyższym zdumieniem zauważyłem leżących na rozmokłej ziemi dwóch mężczyzn, <sup>u</sup>ędznie

ubranych. Leżeli nieruchomo. Nieżywi. Przypomniałem sobie, co jakoś przeszło mimo moich uszu, że parę dni temu dwóch więźniów uciekło. Teraz leżeli w pobliżu bramy, jako ostrzeżenie dla tych wszystkich, którym marzyć się będzie ucieczka. Pogoń, jaka za nimi poszła dopadła ich w pewnym miejscu i zapewne przy " próbie ucieczki" zostali zastrzeleni.

Uciec z tajgi i poza tajgę było prawie niemożliwe. Przecież tajga, jak zresztą cała olbrzymia obłast permska najeżona była wieżyczkami usytuowanych tu gęsto łagrów, połączonych ze sobą liniami telefonicznymi. Jakakolwiek ucieczka stawiała na nogi straż wszystkich łagrów. Przedrzeć się przez ten archipelag Gułag przekraczało możliwości każdego uciekiniera. A propos "Gułag", nie wszyscy wiedzą, nawet ci, którym dane było przeczytać Solżenicyna na powieść pod tym tytułem, co oznacza ten skrót. Oznacza on: <sup>główny</sup> Gosudarstwiennyje Uprawlenie Łagieroj. Na żadnej mapie Związku Radzieckiego nie oznaczono tego archipelagu. A warto chyba dodać, że w latach stalinowskiej dyktatury żyło na tym archipelagu - przy przybliżonych tylko obliczeniach - od 14 do 15 milionów niewolników, czerwonego terroru !

Mimo nadejścia lata, trwającego właściwie tylko trzy miesiące, z niepokojem stwierdzałem wzrastające stale osłabienie, szczególnie trudno mi było chodzić. Myślałem nieraz ze smutkiem, że chyba przyjdzie mi złożyć moje kości w " gościnnej ziemi radzieckiej". Trudno mi było się z tym pogodzić, wciąż zadawałem sobie pytanie, na które nie miałem odpowiedzi - za co to wszystko, za jakie niepopołnione winy jestem tak straszliwie ukarany ? Nie znaczy to wszystko, że się załamywałem. Wiedziałem dobrze, że wewnętrzne załamanie się to koniec. A życie w łagrze płynęło jednako beznadziejnie. Co gorsza mój opiekun poczciwy Łotysz/niestety nie pamiętam jego nazwiska/ został zwolniony i odjechał, ale



jak mi powiedział polecił mi do dalszej opiece nowemu kucharzo-  
wi Polakowi niejakiemu Rakowskiemu. Dopiero teraz dowiedziałem  
się, że w łagrze jest drugi Polak. Powiało na mnie optymizmem.  
Podchodziłem do niego przy rozdawaniu posiłków i dolewał mi  
znacznie więcej "bałandy" niż innym. Ze strachem tylko patrzy-  
łem, czy nie zwróci na to uwagi, najwściekłojszy z wściekłych  
psów stały ~~obawy~~ dyżurny stołówki, młody, tęgi, jednoręki Mos-  
kał. Nieraz patrzyłem jak tą jedną ręką walił pchających się  
wygłodzonych więźniów, a walił straszliwie z całym wyrafinowa-  
niem urodzonego oprawcy.

Moja radość z dodatkowych porcji trwała krótko. Gdy które-  
goś dnia, jak zawsze dotąd podszedłem do Rakowskiego, usłysza-  
łem, uszom nie wierząc, ostre warczące "paszoł won, job  
twoju mat". Zakręciłem się na pięcie i jak z procy wyleciałem  
ze stołówki. Wstyd i upokorzenie doznane od "rodaka" bolało  
więcej niż ciosy Moskala. Domyśliłem się szybko powodów takiego  
zachowania się p. Rakowskiego. Nie podzieliłem się z nim, lub  
lepiej - nie zaniósłem mu otrzymanej, chyba w czerwcu paczki.

Lato gorące było w pełni. Dobiał kresu czerwiec. W ostat-  
nich jego dniach miałem okazję obserwować zachowanie się pewne-  
go Ukraińca, któremu dopisało szczęście, że go zawołano do  
pomocy w pracy kuchennej. Na noc wrócił do braku przynosząc ze  
sobą pokaźną kość. Byłem niezmiernie ciekawy, co zrobi z tą  
kością. Po jakichś chyba dwóch godzinach mordowania ~~się~~ się  
z nią, przy pomocy noża i dobrych zębów, lepiej schrupał ją niż  
każdy pies. Nie zostawił ani okruszyny. Nie zdziwiło to nikogo.  
Wszyscy poznaliśmy dobrze nieodstępnie nam towarzyszący głód.  
Skromną paczkę zjadłem bardzo szybko i znowu przechodziłem na  
łagrową dietę.

Jak wyglądało utrzymanie więźnia na całą dobę ? Rano i to zawsze dość wczesnie, wychodziliśmy do pracy ledwie zaczynało świtać~~xy~~ latem, a o pełnym zmroku w dni zimowe. Otrzymywaliśmy mniej więcej trzy czwarte litra "bałandy". Całą jej wartością odżywczą było wyłącznie to, że była gorąca. Zimą miało to poważne znaczenie, choć zapas połkniętego ciepła nie wystarczał na zbyt długo. W ciągu długiego dnia pracy nie było żadnego posiłku. Wiosną zrywaliśmy rozkwitające liście lipy, miały całkiem dobry smak. Po raz drugi otrzymywaliśmy tę samą "bałandę" i 30 dkg chleba. Jaki to był chleb, już wyżej o nim pisałem. I to było całe utrzymanie ciężko pracujących w lesie ludzi. Ludzie byli chudzi-- ale śmiertelność była bardzo mała. Nie zdziwiłem się wcale, gdy na wiosnę po stajaniu śniegu pewien ruski zaczął spod drzew wybierać czarne z poprzedniego lata pozostałe grzyby, do których spożywania życzliwie zapraszał. Ostrożnie go, żeby przestał to jeść, przecież - wołałem- możesz się ~~o~~truć. Nie posłuchał. Za pewien czas dostał gwałtownych ~~t~~orsji, zabrano go do łagru i z nim wróciliśmy już nie żył.

Tajga to przedziwny las. Poza bardzo rzadko spotykanymi grzybami, których nigdy nie zbierałem, nie znając się na ~~nisk~~ ich gatunkach, jeszcze rzadziej można było spotkać czarne jagody, nasze pospolite borówki. Raz miałem szczęście znaleźć dość znaczną kolonię tych dobrych jagód. Bez namysłu zabrałem się do nich urywając się od pracującej brygady. Użyłem sobie znacznie, ale zdarzyło mi się to tylko jeden raz. Jak nietrudno domyśleć się, huk ~~walących~~ walących się drzew wypłoszył wszelką zwierzy-  
nę, jaka może w tym lesie była. Nigdy nawet nienia żadnej zwierzyny nie spotkaliśmy, ani nie śpiewał, żaden ptak, też wypłoszony niezwykłym ruchem ~~i~~ hałasem. Las był zupełnie niemy i głuchy. Kładł się posłusznie pod ciosami siekier i pił, wycina-

ny bez litości przez zachłannego człowieka, bez jakiegokolwiek planu i porządku.

Ciepło, przyjemne lato pozwalało na pewien wzrost lepszego samopoczucia. Chociaż nie dodawało to sił, coraz bardziej się zmniejszających, ale czyniło życie nieco lżejsze. Codzienny marsz do lasu, niezwykle wyczerpujący i męczący i pod wieczór powrót tą samą drogą, doprowadzał do skwapliwego i wytężającego poszukiwania dodatkowych, utajonych sił w organizmie. Była to ciężka walka ze wzmagającym się osłabieciem, o której można było bez przesady powiedzieć, że duch był mocny, ale ciało coraz słabsze. Nieraz z goryczą i bólem mówiłem do siebie - jak przyjdzie mi spędzić w tych warunkach jeszcze jedną zimę, to chyba złożę swoje kości w poduralskiej tajdze. Czy oznaczało to zbliżenie się wewnętrznego załamania, nie potrafiłbym określić. Swoją sytuację ~~sk~~ określałem najplastyczniej, jako sytuację pływaka, zalewanego falami, któremu coraz bardziej ~~u~~bywa sił.

Zanim jednak skończył się miesiąc, którego ostatni dzień miał mi przynieść wieść o decyzji, która radykalnie miała zmienić moje położenie, przyglądałem się scenom, o tragikomicznie rzadko spotykanym, bo nie pozbawionym równocześnie bardzo wyrazistych, brutalnych, wręcz ohydnych realiów.

Pewnego dnia wokół pierwszego, po wejściu w obręb łagru-baraku zaczęto budować wysoką, chyba ponad dwa metry, palisadę, z ostro zakończonymi palami. Zbudowano również bramę wejściową powiększając zagadkę dla wszystkich przyglądających się tej niecodziennej pracy. Minęło parę dni. Przez otwartą bramę łagru, południową porą zaczęły przechodzić kobiety kierując się w stronę świeżo ogrodzonego baraku. Gromada "wiedzów" składająca się przede wszystkim z ruskich, na widok wchodzących kobiet-

zawrzała. Zacieranie rąk, uśmiechy, podskakiwanie, przytupywanie miało świadczyć o niezwykłym podnieceniu jakie ogarnęło ~~gromadę~~ niemałą gromadę więźniów. Całe to poruszenie robiło wrażenie mrowiska, do którego ktoś niebaczny wsadził kij. Zbliżał się wieczór. Z najwyższym zdumieniem patrzyłem jak ze zręcznością małp, kilkudziesięciu ruskich/ oni byli głównie amatorami "miłosnych przygód"/ przesadziło wysoką palisadę i znikło za drzwiami baraku. Uczta "miłosna" trwała zapewne całą noc. Nie mogłem przecież tego sprawdzić, nie zainteresowany osobiście przebiegiem wyprawy po miłość.

Rankiem wraz z męskimi brygadami wyszły i kobiety, które przydzielano do różnych grup roboczych. Z Ukrainką, która znalazła się w naszej brygadzie chwilę rozmawiałem, pytając o zajścia minionej nocy. Młoda dziewczyna, chyba nie miała dwudziestu lat z dziwnym spokojem zaprawionym widocznym smutkiem stwierdzała, że nie istniała żadna możliwość przeciwstawienia się rozwydrzonym samcom. Wszystkie znajdujące się w baraku kobiety, a ~~było~~ mogło ich być 40 lub 50 - nie było między nimi żadnej Polki - tak przynajmniej mówiła mi Marusia, znalazły się w łapach bezwzględnych ~~zbiórów~~ zbirów, którym nikt i nie nie mogło przeszkodzić w zaspokojeniu ich wybujałej chuci.

"Spektakle miłosne" - strażnicy, ani władze obozowe, ani razu nie ingerowały - trwały kilkanaście "szalonych nocy". Ku wielkiemu zapewne żalowi amatorów miłosnych uniesień, kobiety pewnego dnia wyprowadzono za bramy łagru i wywieziono samochodami w niewiadomym kierunku.

W tym epizodzie z kobietami, wśród których było wcale nie mało ~~przyzwoitych~~ pospolitych prostytutek, ujawniła się ~~z~~ całą jaskrawością chyba nie pozbawiona racji opinia, że pewne

okazy gatunku ludzkiego są bliższe w swoich reakcjach zwierzętom niż człowiekowi, panu wszystkich stworzeń.

Prawdę powiedziawszy, tak to odczułem, jako całkowicie postronny obserwator rozwydrzenia budzącego ~~wciąż tkwiącym~~ najdalej sięgający niesmak.

Poza prostytutkami, pozostałe kobiety więźniarki, doprowadzone wyczerpującą pracą do granic wyniszczenia, niezdolne do żadnego oporu, narażone przy tym na "nabycie" chorób wenerycznych, przynajmniej miały gwarancję, że nie znajdą w niepożądaną ciążę. Wyczerpująca praca, ciężkie warunki egzystencji doprowadziły organizm kobiet do zakłócenia naturalnych jego funkcji. Krótko mówiąc nie miały menstruacji.

Epizod z kobietami przeminął bardzo szybko, ku niezadowoleniu oczywiście tych wszystkich, którzy kobietami byli zainteresowani i ponownie rozpoczęła się czyste męska jednostajność. Dni mijaly, zastraszająco do siebie podobne, wypełnione pracą wysysającą resztki siły z wciąż tkwiącym w umyśle pytaniem- jaki i kiedy będzie temu koniec \* ?

Aż wreszcie przyszedł dzień- wybawiciel. Gdy wróciłem w ostatni dzień czerwca z lasu od razu okrążyli mnie Ukraińcy przekazując najnowszą wiadomość, że jutro już mam nie wychodzić do pracy, ale rano zgłosić się do biura łagru. Dopatrywali się w tym zgodnie, że jest to początek szczęśliwej zmiany i pewnie wyjazdu do Polski. Szczerze mi zazdrościli, choć przecież nikt o niczym dokładnie nie wiedział. Wiadomość przekazaną mi przyjąłem z dużym zainteresowaniem, co w praktyce zakończyło się oddaniem do magazynu resztek kołdry, na której dotąd spałem, i noc przeleżałem w ubraniu na gołych deskach.

Rano po wyjściu brygad do pracy podszedłem pod drzwi kanco-

larii łagrowej, gdzie zauważyłem strażnika uzbrojonego i dwóch nieznanych mi więźniów. Po otrzymaniu przez jednego z dwóch konwojentów jakichś papierów ruszyliśmy za bramę rozpoczynając marsz wzdłuż torów wąskotorowej kolejki - w nieznane. Zdążyłem konwojenta zapytać dokąd idę? Spojrzał na mnie dość dziwnie i odparł: "jedziesz na peresud". Miało to niby oznaczać, że wracam do Drohobycza na ponowne rozpatrzenie mojej sprawy. Od razu wydawało mi się, to nieprawdziwe. Po 5 km marszu otworzyły się przed nami bramy nieznanego mi łagru, zresztą bliźniaczo podobnego do tego, z którego dopiero do wyszedłem. Niedaleko za bramą natknąłem się na Chińczyka, którego zapamiętałem z pracy w "cech-fermie", a jeszcze bardziej z powodu dokonanego przez niego morderstwa na swym łagrowym współtowarzyszu i partnerze karcianym.

W kilku grali w karty. Jeden z grających zgrał się do kieszuli i kałeson i jeszcze pozostał dłużnikiem Chińczyka. Dłużnik przez pewien czas nie wychodził do pracy, na podstawie zwolnienia lekarskiego, ale też nie spłacał długu. Gdy wreszcie wyszedł za bramę łagru, zamiast pracować - położył się za leżącymi w dużej <sup>olejności</sup> ~~całkowicie~~ deskami w "cech-fermie" i usnął. Chińczyk wypatrzył śpiącego, podszedł cicho, i siekierą zadał śmiertelny cios w głowę. Tego to właśnie Chińczyka spotkałem w tym "nowym" łagrze, pytając jaki dostał wyrok za morderstwo. Uśmiechnął się jakby nigdy nie i rzekł: 5 lat. Wcale nie zauważyłem, aby był tym zmartwiłony. Był to jeden z tych, którzy swoją nędzną egzystencję wiązali z życiem w łagrach, na wiele, wiele lat.

Po dwóch albo trzech dniach, znalazłem się w znacznie większej grupie, którą po wyprowadzeniu za bramę załadowano na ciężarowy samochód i ruszono. Wśród "pasażerów" samochodu było

kilka Polek i Polaków. Droga prowadząca przez staryj tajgę wyłożona była, równoległe do drogi, dość grubymi pniami drzew, z pobudowanymi od czasu do czasu poboczami umożliwiającymi rozmijanie się samochodów jadących w przeciwnych kierunkach.

Droga prowadziła przez las. W pewnym momencie zauważyłem na przestrzeni kilku kilometrów, po jednej stronie drogi, las leżący pokotem. Potężne drzewa, połamane, z korzeniami wyrwanymi z ziemi, smutne przedstawiały, nie pozbawione swojej grozy, widok. Było to zapewne dzieło miejscowego huraganu i to chyba, sądząc po skutkach, o niebywalej sile.

Jadący szybko samochód, pozostawiając poza zasięgiem oczu zmierzającą tajgę, zbliżył się do pierwszych zabudowań jakiejś miejscowości. Był to - jak się niebawem dowiedziałem - Solikamsk, niewielkie, staroruskie miasto, nad którego niezbyt rozległą panoramę strzelały w niebo baniaste wieże trzech lub czterech cerkwi.

Wyładowano nas przed bramą -jak szybko rozpoznaliśmy- łagru. Składał się on z dwóch odgradzonych parkanem części. Wprowadzono nas do części prawej, nie zaludnionej. Stało tam kilka baraków z piętrowymi pryzmami wewnątrz. Zaraz po rozejrzeniu się w nowym miejscu próbowałem nawiązać kontakt z łową stroną. Poprzez szpary w parkanie nie trudno było dostrzec krzątających się ludzi. Na chybił trafił zawołałem jednego z nich. Podszedł do parkanu i wówczas zapytałem czy nie mógłby mi sprzedać kawałek chleba. Nadspodziewanie łatwo transakcja doszła do skutku. Miałem kilkanaście rubli, które otrzymałem jako zapłatę za pracę w tajdze. Za jakiś okrus, nie orientowałem się, próżny byłby to zresztą trud próbować szukać jakiegokolwiek wyjaśnienia w tej materii. Pieniądze miałem ukry-

te głęboko w rękawie kufajki. Nie na wiele się to jednak przydało. Po nocy spędzonej na twardej pryczy, wraz z zakończonym snem ulotniły się moje pieniądze, a wraz z nimi skończyły się nadzieje na zakup od czasu do czasu chleba. Wypatrzyły złodziejskie ślepie mój skarb i w nocy zostałem ograbiony. Musiał to zrobić dobry fachowiec, bo nawet nie zbudził mnie sięgając do wnętrza rękawa. Choć żał mi było tych kilkunastu rubli, nie mogłem nie podziwiać sprytu ~~fu~~ader delikatnych rąk nocnego złodziejaska. Skończyły się zatem możliwości wzbogacania bardzo ubożego menu, jakie było nam przydzielane. Dostawaliśmy raz dziennie nie nazbyt wiele zupy ~~fu~~ około pół kilograma chleba, złanej nam jakości. Wprawdzie do pracy nie angażowano nas żadnej, nie mniej jeść się chciało piekielnie. I w takim stanie, zupełnie nie orientując się co dalej, minął lipiec.

W pierwszych dniach sierpnia /1948 r./ zaszła ponowna zmiana w moim położeniu. Zostałem przeniesiony do lewostronnego łagru i wcielony do roboczej brygady. Wszedłem do izby mieszkalnej moich nowych współtowarzyszy. Przyzwyczajony w dotychczasowym życiu do pospolitych, ciemnych nor ze zdumieniem przyglądałem się czystej, jasnej izbie, z dwoma parami piętrowych łóżek zaścielonych kocami w białych pokrowcach. Z boku stał stół nakryty białym obrusem ~~na nim stał się niewielki białe wazoniki~~, a obok stały dwa taborety. Zapytałem jednego z mieszkańców co to za brygada żyjąca w niespotykanych w łagrach warunkach. Gdy usłyszałem odpowiedź, poczułem, jak ugięły się pod moją nogi. Jesteśmy wszyscy - mówił mój rozmówca, po odbyciu wyroku i oczekujemy na przeniesienie nas jako przymusowych osadników, gdzieś, gdzie zadecyduje władza. Otrzymałem - pomyślałem, z jakąś trudną do wyrażenia wewnętrzną trwogą. Byłem jednak całkowicie bezradny i musiałem biernie oczekiwać na to co przyniesie mi los. Tymcza-



sem wraz z całą brygadą, liczącą kilkunastu robotników - trudno mi nazwać ich więźniami, przecież "od<sup>s</sup>ługżyli" swoje wyroki - prowadzony byłem pod konwojem do miasta, na budowę, jak się szybko dowiedziałem - szkoły. Była to raczej ponowna budowa, bo szkołę tę zbudowano ubiegłego roku. Nie mogłem zrozumieć, ani pojąć, jak to możliwe, aby budynek wzniesiony nie tak dawno wymagał gruntownego remontu.

Mimo, iż czwarty już rok przebywałem w świetlicy budownictwa "socjalistycznego", niczego niemo~~no~~ nauczyłem się i jeszcze mniej rozumiałem.

Przechodząc ulicami niewielkiego miasta bacznie obserwowałem spotykanych ludzi. Niezmiennie, zresztą nie tylko w Solikamsku, uderzało ~~moje~~ moje oczy niezwykle ubogie, by już nie określać nazbyt drastycznie - łachmaniarskie, odzienie tych ludzi. Ponadto nie spotkałem ani razu otyłych ludzi - zapiszmy to na konto pozytywów. Wszyscy przechodzący zupełnie pbojętnie obok maszerującej nie - wielkiej kolumny pod "opieką" uzbrojonego strażnika, robili wrażenie niedożywionych. A przecież były to tereny, do których na szczęście nie dotarł front wojny, no i było to od zakończenia działań wojennych już z górą trzy lata ! Niedostatek wyzierał z każdego kąta, z każdej ulicy, z każdego domu. Potwierdzeniem tych obserwacji z "marszu" stało się dokładne obejrzenie życia wdowy po poległym na wojnie żołnierzu, pozostałej ~~jako~~ jako dozorczyui budującej się szkoły, z paroletnim synem.

Oglądałem jej mieszkanie składające się z niewielkiej kuchni i niewiele większego pokoju. Ubóstwo i biedota były uderzające. ~~xxxx~~ Jedyną żywicielką tej biednej wdowy była koza, której pewnego dnia podkradłem liść kapusty. Miałem nawet z tego powodu pewne wyrzuty, choć czyn mój był łatwo wytłumaczalny. Chodziłem stale głodny i choć liść kapusty nie mógł mnie nasycić, dawał przez

~~chwile~~  
~~chwile~~ złudzenie jedzenia. Prosiłem wspomnianą wdowę o zakup chleba. Niestety, odmówiła mi tłumacząc, że może kupić tylko jeden bochenek. Zrozumiałem, tyle już nauczyłem się ~~z~~ rzeczywistości sowieckiej.

Ostatnim dniem roboczym był dla mnie dzień 31 sierpnia. Już wieczorem dowiedziałem się, że jutro nie wychodzę do pracy. Wzrosła nadzieja, że sprawdzą się chyba krążące pogłoski, o naszym rychłym odjeździe do Polski. Uciszałem jednak budzącą się radość, stwierdzając, że dopóki jestem w "ich rękach", na radość za wczesnie. Nie namyślając się wiele sprzedałem posiadany aluminiowy kociołek i zafundowałem sobie cały kilogram chleba. Za kilkanaście minut uczulem znaczne nasycenie i z tym dość rzadkim uczuciem poszedłem spać. Poszedłem do innej izby - sam nie wiem dlaczego ~~to~~ zrobiłem - i położyłem się w ubraniu na słabiej oświetlonych pryzkach. Po niedługim czasie zerwałem się jak oparzony. Na całym ciele czułem jakby ukłucia szpilek. Opadły mi pluskwy i to szczególnego gatunku, drobne czerwone, jak główki od szpilek, ale nieprawdopodobnie jadowite. Przenosiłem się na pryzkę oświetloną, gdzie pluskwy były mniej agresywne i usnąłem kamiennym snem. Rano zauważyłem niecodzienny ruch. Do wyjściowej bramy podchodzili wywoływani więźniowie, skrzętnie oglądani przez stojących przy bramie strażników. Gdy przyszła wreszcie kolej na mnie, zostałem zatrzymany tuż przed wyjściem. Strażnikom nie spodobał się mój wygląd zewnętrzny. Całe moje ubranie było w strzępach. O ile dawniej zaszywałem rękawice i latałem dziury, dla własnego lepszego samopoczucia, o tyle w ostatnich dwóch miesiącach ani razu nie wziąłem igły do ręki. Zostałem odesłany do magazynu gdzie wydano mi nowy przydział ~~tek~~ wek. Składał się on z granatowo-szarej "gimnastyki", takiego

samego koloru spodni, <sup>(ponadto)</sup> koszuli, kałosenów i trzewików płóciennych / jedynie nosek i zapiętki miały nieco skóry/, na gumowej podszewie. Tak "odświętnie" ubrany zostałem skierowany do leżącego w głębi łagru biura. Wszedłem do pokoju i zauważyłem siedzącego za biurkiem jakiegoś oficera, którego twarz uderzyła mnie nieprawdopodobnym podobieństwem do znanej portretu Napoleona, siedzącego w krześle z kosmykiem włosów na szerokim czole. Spojrzałem, ale nie powiedziałem temu oficerowi o jego podobieństwie do Napoleona. Nie dałem <sup>mu</sup> tej satysfakcji. Wówczas "ruski Napoleon" grzebiąc w leżących przed nim papierach, wydobyl z nich i podał mi małą fotografię mojej żony z córeczką. Zdumienie moje nie miało granic. Zdjęcie to bowiem otrzymałem od żony w jednej z paczek, które mi przekazywała, ale chyba jeszcze w Drohobyczu lub Lwowie. Zdjęcie to niemal cudem ochronione przeszło wiele różnych rewizji osobistych, aż pewnego dnia zginęło mi w niewytłumaczony dla mnie sposób. Teraz je otrzymałem z rąk oficera enkawude. Błyskawicznie przebiegłem myślą losy tej fotografii. Została mi skradziona przez kapusia, od których przecież niemalże roiło się w każdym łagrze, i oddana w ręce "zwierzchnika".

Tymczasem oficer zapytał mnie, oczywiście po rosyjsku, czy chcę jechać do Polski? Na moją twierdzącą odpowiedź, dorzucił: pamiętaj, jak wrócisz a będziesz opowiadał gdzie byłeś, coś tu robili i co widziałeś, to możesz wrócić z powrotem, ale na zawsze! Uśmiechnąłem się lekko i odpowiedziałem: "nie nada mnie gawarit'".

Za chwilę byłem za bramą, gdzie wraz z dużą grupą, chyba więcej niż setki ludzi, ruszyliśmy w kierunku niedaleko leżącej stacji kolejowej, ostatecznie na północy, południkowo biegn-

nacej poduralskiej linii kolejowej. Załadowano nas w wagonach osobowych w celach zamkniętych na klucz i oczywiście z kratami na drzwiach i oknie. Były to osławione w Rosji "stołypinkówki", w prostym dziedzictwie przejęte z carskiej Rosji przez władze rządu "robotniczo-chłopskiego"!

Po niedługim postoju pociąg ruszył. Był to dzień 1 września 1948 roku. Poza mną pozostały łagry, tajga i niezmiernie morze nędzy i niedoli ludzkiej. Wciąż byliśmy traktowani jako więźniowie, z którymi można robić co się żywnie podoba komendantowi konwoju. A był nim jakiś wyjątkowy sadysta. Po kilku godzinach nieprzerwanej jazdy wyprowadził w tym wagonie, w którym ja jechałem wszystkich więźniów na korytarz, rozkazał wszystkim usiąść, a następnie przeszedł po naszych głowach, barkach i plecach w drugi koniec wagonu. Czy "wyczynu" tego dokonał w całym pociągu tego nie wiem, domyślaliśmy się, że chyba tak, ale nie mogliśmy rozwikłać zagadki, <sup>czy</sup> jakie to przewinienie zostaliśmy tak brutalnie potraktowani. Zaszło jednak coś nieprzewidywanego. Sadystyczny komendant więcej już się nie pokazał. Kto wie czy nie zwiększył grupy jadących w pociągu więźniów.

Dokąd jechaliśmy trudno było się zorientować. Co pewien czas pociąg nasz zatrzymywał się na jakichś stacjach a nas pod konwojem odprowadzano do miejscowego więzienia. Z kilkunastu więźniów, które "odwiedziłem" w swej powrotoj drodze, utkwił mi w pamięci pobyt w więzieniu w Gorkim/ dawna Wiatka/. W celi spotkałem młodego człowieka, wysokiego, o wyjątkowo sympatycznej, budzącej zaufanie twarzy. Jak się wkrótce okazało był studentem medycyny, ale studia zostały w okrutny sposób przerwane, otrzymanym wyrokiem... 25 lat łagrów! Pytałem za co? Zeszli się w kilka do mieszkania jednego z kolegów, gdzie wśród beztroskiej młodzieńczej rozmowy zaczęli opowiadać bajki

polityczne. Po kilku dniach siedział wraz z innymi za kratami i w konsekwencji wyrok brzmiał - 25 lat łagrów ! Mimo, iż do wielu nieprawdopodobnych spraw i rzeczy zdążyłem się po trosze przyzwyczaić w tym "praworządnym" kraju, nie mogłem ochłonąć ze straszego wrażenia po usłyszeniu relacji, miłego ruskiego studenta. Za opowiadanie dowcipów otrzymał 25 lat łagrów ! Czy uwierzyliby kto w świecie cywilizowanym w podobnie ponury fakt ?

Po kilku jeszcze przystankach dojechaliśmy wreszcie do Moskwy. Przypominam sobie jak do jednego z więzienia odstawiali nas "suką"- samochodem, z okrągłym, ~~miękkim~~ niewielkim otworem w dachu, dla dopływu powietrza, ale przy absolutnych ciemnościach panujących wewnątrz samochodu. Z innego więzienia pamiętam, gdy prowadzono nas przed obszerny dziedziniec, zauważyłem na naszej drodze stertę ziemniaków. Skorzystałem z faktu, że nie bardzo nas pilnowali i porwałem ze sterty trzy lub cztery niewielkie kartofle. A że dziwnym trafem wciąż jeszcze posiadałem- mimo wielu rewizji, nie były one zbyt dokładnie- mały nożyk, obrawszy zdobyte ziemniaki z łupiny, ~~próbowałem~~ jeść surowe. Przecież o ~~z~~ zgotowaniu ich nie mogło być nawet mowy. Wbrew moim oczekiwaniom i nadziei, że przynajmniej oszukam doskwierający głód, nie byłem w stanie przełknąć ani kawałka. Po prostu nie mogłem. Trudno mi jeszcze dziś uwierzyć, w oparciu o moje doświadczenie, twierdzeniem, że można jeść surowe ziemniaki.

W Moskwie pociąg nasz zatrzymał się na odległej bocznicy, jak można było sądzić oglądając przez okno, bardzo ograniczoną przestrzeń. Po raz pierwszy od chwili, gdy zostałem przetransportowany w głąb Związku Radzieckiego otrzymałem chleb, o jakim dotąd mogliśmy tylko marzyć. Wysokiej jakości odżywczej, pszenno-

razowy, bardzo smaczny. Żelowaliśmy wszyscy, że było go tylko, na oko oceniając, około 50 dkg.

Pod koniec września, chyba w Orle, w więzieniu otrzymaliśmy na trzy doby, jak nam to określono, chleb i po dwie niewielkie suszone ryby. Otrzymawszy takie zaopatrzenie ruszyliśmy w kierunku Homla-Pińska, Brześćcia. Ostatni kęs chleba i resztkę ryby zjadłem na dwie pełne doby przed wyładowaniem nas w Brześciu n/Dugiem. Był to dzień 2 października 1948 roku.

Ze stacji poprowadzono nas - sporą gromadę, samych mężczyzn - pod bramy jakiegoś obozu, wciąż jeszcze pod konwojem. Było piękne popołudnie, typowo polskiej jesieni. Siedzieliśmy na trawie, zupełnie obojętni na otaczający nas świat.

Bramy obozu otworzyły się przed nami prawie o zmierzchu. Zaprowadzono nas przede wszystkim do obozowej fryzjerni, a następnie do łaźni. Zdumienie nasze nie miało granic. Zarówno fryzjernia jak i łaźnia obsługiwane były przez samych Niemców. Byli to chyba jeńcy wojenni, choć nie bliższego na ten temat nie mogliśmy się dowiedzieć. W obozie poza Niemcami, była znaczna liczba Polaków. Pierwszy wieczór ukoronowany został smaczną zupą ze sporym kawałkiem chleba. Smak tej zupy utrwalił się w mojej pamięci za nawsze. Chyba nie ma w tym nic dziwnego uwzględniając głodówkę dwudobową.

Rozmawiałem z wieloma przebywającymi w obozie, Polakami. Nie umieli wyjaśnić dlaczego ich trzymają. Wciąż na coś czekali. Mieli nadzieję na odesłanie ich do Polski, inni wyrażali raczej bardziej pesymistyczne prognozy, wręcz twierdząc, że ich wszystkich wywieżą w głąb Rosji. Podczas kilkudniowego pobytu w obozie, nie miał on charakteru, dobrze znanego mi łagru, dlatego określam go mianem obozu - zostałem dokładnie

poinformowany przez Polaków, co należy mówić gdy będą nas wyprowadzać za bramy. Rzeczywiście po kilku dniach - w czasie ich trwania uczestniczyłem w zakonspirowanym nabożeństwie, zakończonym cichą intonacją "Boże coś Polskę". Choć nie jestem podatny na wzruszenia, nie mogłem zachować się obojętnie wobec swoistego, arcypolskiego misterium - wyprowadzono przybyszów<sup>22</sup> października w kierunku bramy, pytając każdego, kogo ma w Polsce.

Na pytanie skierowane do mnie odpowiedziałem, zgodnie zresztą z prawdą, że mam w Polsce żonę, córkę i teściów.

Po wyjściu z obozu załadowa<sup>to</sup> nas na samochody i odwieziono w kierunku granicy. Po jej przekroczeniu zostaliśmy przekazani /było nas wszystkich około 140/ polskiemu oficerowi, jak później domyśliliśmy się, członkowi władz bezpieczeństwa. Z dużą ciekawością, nie pozbawioną swoistej życzliwości<sup>na</sup> patrzyliśmy na oficera polskiego. On natomiast wcale nie miał dla nas życzliwej twarzy, na której malowało się wyraźne niezadowolenie z przejmowanego "nabytku", niedawnych więźniów władzy radzieckiej, a więc w jakimś ~~ktam~~ stopniu podejrzanych. Znad granicy przetransportowano nas samochodami do Białej Podlaskiej - już bez konwojentów - do specjalnie przygotowanego budynku na przyjęcie takich gości ze Związku Radzieckiego.

Dom, w którym nas rozlokowano - był dobrze urządzony i najważniejsze: dysponował bardzo dobrą kuchnią. Ta właśnie kuchnia stała się dla wielu, odwykłych od normalnego odżywiania, prawdziwą udręką. Ubikacje były wciąż obłożone, a ludzie skarżyli się na ostrą biegunkę. Kwarantanna odżywieniowo-wypoc<sup>z</sup>ynkowa trwała dwa tygodnie. Błądząc po korytarzach odczytywałem obficie przyklejone kartki, do wiszących tablic, a nawet ścian. Roilo się od różnych nazwisk i adresów. Jakaż była moja radość

gdy w pełnej chwili odczytałem imię i nazwisko mojej żony i adres jej zamieszkania w Zielonej Górze przy ul. Dąbrowskiego 22<sup>a</sup>.

Skąd się ta kartka znalazła w Białej Podlaskiej? Moja żona stykając się w Zielonej Górze z kilkoma osobami, którzy wrócili ze Związku Radzieckiego, dowiedziała się, że wracali właśnie przez Białą Podlaskę. Przewidując moja żona pojechała do miasta, w którym może znaleźć się jej mąż i zostawiła na tablicy swój adres. Wiedziałem więc dokąd nam jechać. Telegramu nie wysyłałem, pragnąc swoim przyjazdem sprawić mojej rodzinie niespodziankę.

Wyszedłszy po raz pierwszy od kilku lat na ulicę miasta, gdy nie opuściłem za sobą bagnetu strażnika - konwojenta i gdy mogłem napawać się radością odzyskanej wolności, przyglądałem się wszystkiemu z wciąż rosnącym zaciekawieniem. Uderzającym obrazem, jednym z pierwszych, który bez żadnej przesady "uderzył" w moje oczy stało się spostrzeżenie - jak Polacy są porządnie ubrani. Różnice między obywatelami Związku Radzieckiego a tym co ujrzałem na ulicach Białej Podlaskiej były tak zaskakujące, że nie można było tego nie zauważyć. Żądny byłem rozmowy z ludźmi, chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o tej nowej Polsce, o której nic nie wiedziałem. Zaczepiłem przechodzącego kolejjarza i zapytałem - chyba nie dziwnego, że właśnie o to - jak wyglądają stosunki ze Związkiem Radzieckim. Kolejjarz, zorientowawszy się z kim rozmawia, bo z miejsca mu powiedziałem w jakiej jestem sytuacji, i skąd przed kilkoma dniami wróciłem, przedstawił mi stosunki z naszym wschodnim sąsiadami w sposób tak obrazowy i plastyczny, że wszystko od razu zrozumiałem. Otóż - mówił kolejjarz - gdy nasze pociągi jadą na wschód to ciężko sapać "sało, sało" ! A ~~by~~



gdy wracają głos ich jest całkiem inny, lekki i brzmi ~~xxxxxxx~~  
"szpiczki, szpiczki". Szczerze się uśmiechałem z przedstawienia  
mi interesującej mnie sprawy. Tak szczerze, jak szczerą była  
moje radość z odzyskania wolności.

Z Białej ~~Podlaskiej~~ <sup>(gdzie)</sup> dokonałem pierwszego <sup>(40)</sup> zakupu w Polsce, prawie  
po czterech latach zesłania, napotkany w kiosku jeden z bieżą-  
cych numerów, dobrze mi znanego sprzed wojny miesięcznika  
"Wiedza i życie", który do dziś znajduje się w mojej bibliotece,  
wyjechałem 15 października otrzymując na drogę różową kartę  
repatriacyjną z aktualną fotografią i prawem wolnego przejazdu  
kolejami do Zielonej Góry. Po drodze zatrzymałem się u brata  
Józefa w Otwocku /b.więźnia Majdanka/, skąd wysłałem telegram  
do Zielonej Góry, w której wyszedłem z pociągu w dniu 17 paź-  
dziernika 1948 roku. Przywitał mnie na dworcu teść, bo żona  
z córeczką akuratnie w tym dniu wyjechała do Wrocławia.  
Spotkaliśmy się dopiero ok. godziny 23.00. Skończyła się nasza  
obopólna męka rozstania i nieustannej, gryzącej serce  
i umysł tęsknoty.

Rozpoczął się w moim życiu <sup>nowy</sup>, najważniejszy, okres,  
dokładnie w dziesięć lat przed wybuchu II wojny światowej.

K o n i e c

© ARCHIWUM WSKAZOWNIE